

Biblioteka Sejmu Śląskiego

26717



WSCHÓD
WYDAWNICTWO
DO DZIEJÓW I KULTURY ZIEM WSCHODNICH
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
POD REDAKCJĄ
PRZEMYSŁAWA DĄBKOWSKIEGO
TOM V.

KS. KAZIMIERZ WAIS

**WSPOMNIENIA
Z PIERWSZEGO ROKU WOJNY
ŚWIATOWEJ**

L W Ó W 1930
DRUK UKOŃCZONO 30 LIPCA 1930
NAKŁADEM REDAKCJI
Z ZASIŁKIEM AUTORA

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: LWÓW, UL. MICKIEWICZA 14



106

26714

II

Transfer Warszawa 12. III 32.



X-59322
26714 II

ODBITO CZCIONKAMI Drukarni L. Wisniewskiego we Lwowie
ul. Ossolińskich 16



Dnia 23 lipca 1914 r., o godzinie 9 przed południem, wsiadłem we Lwowie do pociągu, który za kilka minut miał ruszyć w stronę Sambora. Jechałem na wakacje do ukochanej Klimkówki, po ciężkiej dziesięciomiesięcznej pracy. Pełniłem przez ten czas trudny i odpowiedzialny urząd rektora Seminarjum duchownego, a przytem byłem profesorem Uniwersytetu i dziekanem Wydziału teologicznego.

Pierwszy rok mego rektoratu, który mi powierzył J. E. ks. Arcybiskup Bilczewski dnia 26 września 1913 r., minął, za co niech będą Bogu dzięki stokrotne, szczęśliwie. W innych przełożonych Zakładu, a mianowicie w ks. wicerektorze Weredyńskim, w ks. spirytualnym Warszylewiczu, tudzież w ks. prefektach Lisowskim i Tarnawskim, z których pierwszy był nadto profesorem, a drugi docentem Uniwersytetu, miałem najserdeczniejszych i najwierniejszych przyjaciół. Sądzę, że nie byłem malowanym rektorem; starałem się jednak zawsze o to, aby w rządach Seminarjum uczestniczyli w odpowiednim stopniu wszyscy przełożeni. W tym celu omawialiśmy codziennie, najczęściej przy wspólnym stole, sprawy Zakładu, a zarazem dbaliśmy pilnie o to, aby każda nasza uchwała w czyn się zamieniała. W ważniejszych sprawach zasięgaliśmy rady Najdostojniejszego Arcypasterza, który Seminarjum bardzo często

odwiedzał i był tak dla nas, jak dla alumnów najlepszym ojcem.

Pewna część alumnów, przyzwyczajona do dawniejszych stosunków, odnosiła się z początku do mnie z pewnem niedowierzaniem, skarżąc się na nowe, a srogie, jak mniemała, przepisy. Atoli po paru miesiącach znikła wszelka nieufność: wszyscy klerycy zrozumieli, że nowe ustawy domowe są dla nich prawdziwem dobrodziejstwem. To też przedziwna harmonja zapanowała między nimi a przełożonymi: czuliśmy coraz więcej z każdym dniem, że kochamy gorąco tę wybraną młodzież, której wychowanie Bóg złożył w ręce nasze; czuła i młodzież rzetelną miłość swoich wychowawców i dawała tejsze miłości bardzo częste dowody. Nigdy nie zapomnę np. chwili, w której alumni, zaprosiwszy do rektorskiego mieszkania moich najbliższych przyjaciół, zjawili się niespodzianie u mnie, by uczcić 25-tą rocznicę moich święceń kapłańskich.

Pełnienie obowiązków rektorskich przeszkadzało oczywiście mojej pracy naukowej, którą zawsze bardzo lubiłem i wysoko stawiałem. Pocieszałem się myślą, że czynię wolę Bożą i że, uporządkowawszy na swój sposób sprawy seminaryjne, będę miał w następnych latach więcej czasu do lektury i pisania. Nie zaniedbywałem jednak wykładów uniwersyteckich i kancelaryjnych zajęć dziekańskich, w czem pomagał mi bardzo chętnie ks. prof. Gerstmann. Jako dziekan musiałem pod sam koniec roku akademickiego przewodniczyć większości ciągnących się przez cały miesiąc, rano i popołudniu, egzaminów, co mnie nużyło więcej, aniżeli rozstrząsanie najtrudniejszych zagadnień filozoficznych. Egzamina alumnów polskich wypadły bardzo dobrze, ruskich bardzo słabo. Bo też znaczna część ruskich alumnów odda-

wała się, mimo energicznej ręki ks. rektora Bociana, raczej polityce, niż nauce.

Jechałem tedy do rodzinnej wioski z wolną głową. W Chyrowie przysiadł się do mnie profesor przemyskiego seminarjum duchownego, ks. Balicki, mój dawny przyjaciel, a od kilku lat towarzysz wakacyj, spędzanych wspólnie w moim domu w Klimkówce.

Po paru dniach wypoczynku, zabraliśmy się do pracy: ks. Balicki do czytania przywiezionych z sobą książek, ja do wykończenia swego dziełka p. n.: „Dusza ludzka“. Tymczasem nagle, jak grom z jasnego nieba, spadła wieść o wydaniu przez Austrię wojny Serbji. Najbliższą okazją do tego było, jak wiadomo, zamordowanie następcy tronu, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, i jego małżonki, księżnej Zofji Hohenberg, dokonane przez kilku Serbów w Serajewie dnia 28 czerwca. Pierwszego sierpnia ogłoszono w Klimkówce rozporządzenie cesarskie o powszechnej mobilizacji. W spokojnej wsi uczynił się ruch. Niezwykły lęk ogarnął wszystkich, tem bardziej, iż przewidywano, że za Serbją ujmie się Rosja, że tedy pożar wojny rozpali się koło granicy, a może i we wnętrzu naszego kraju.

Nazajutrz powołani na wojnę przystąpili z wielką pobożnością do spowiedzi i komunji św. Była to niedziela. Po sumie, wśród której, przy ciąglem niemal łkaniu wiernych, przemówiłem serdecznie, zaczęli powołani wyjeżdżać do stacji kolejowej we Wróbliku. Po całej wsi, od lasu do dworu, rozlegały się słowa pożegnania, mieszane z płaczem. Ojcowie, żony, rodzeństwo i dzieci odprowadzali ze łzami swoich synów, mężów, braci i ojców. „Bywajcie zdrowi, wołali jedni, módlcie się za nami przed cudownym Panem Jezusem w kościółku, polecajcie nas Matce Najświętszej, bo nie

wiemy, co nas czeka!" „Niech was Bóg ma w Swojej opiece, niech was Pan Jezus i Matka Najświętsza strzegą od śmierci i szczęśliwie przyprowadzą do domu", odpowiadali drudzy.

Stu kilkudziesięciu najsilniejszych i najzdrowszych mężczyzn opuściło Klimkówkę, w której zapanowała smutna cisza. Wielu z nich nie miało już więcej zobaczyć strzechy rodzinnej, inni mieli pod nią wrócić w stanie opłakanego kalectwa.

Ci, którzy, odprowadziwszy na dworzec kolejowy krewnych, przybyli pod wieczór do domu, powiedzieli mi, że na stacji widzieli dwóch kleryków lwowskich z Rymanowa, którym Konsystorz lwowski kazał bez zwłoki zgłosić się do Seminarjum we Lwowie. Zrozumiałem, że jako rektor powinienem również jak najrychlej tam stanąć. Podobnie ks. Balicki postanowił udać się do Przemyśla, aby zobaczyć, co się tam dzieje, a w razie potrzeby ofiarować swoje usługi. Toż przed południem dnia następnego, nie mogąc dostać koni, wybraliśmy się pieszo do stacji we Wróbliku. Zastaliśmy tam straż wojskową, strzegącą dworca, tudzież mnóstwo powołanych i ich krewnych z gmin okolicznych: wśród jednych i drugich było niestety, wielu podpitych, których widok czynił na nas w tak poważnej chwili wprost przygnębiające wrażenie. Pociąg, mający przyjść od Krosna około pół do drugiej po południu, spóźnił się o kilka godzin. Wreszcie zajechał wśród nie dającego się opisać krzyku, najczęściej dobrze podchmielonych podróżnych, którymi byli niemal sami powołani na wojnę. Dawali oni w prostackich słowach upust swoim uczuciom patriotycznym, grożąc na całe gardło carowi i jego wojsku. Równocześnie zawodziły głośno przed peronem kobiety, żegnając odjeżdżających. Jeszcze nie zatrzymał się pociąg, gdy ci,

którzy do niego wsiąść mieli, rozpoczęli formalną walkę o miejsca. Tymczasem w całym pociągu nie było właściwie ani jednego miejsca wolnego. Podróżni gnietli się jak śledzie w beczce: wszystkie przejścia, nawet platformy były szczelnie obsadzone; wielu siedziało na stopniach, prowadzących do wagonów, niemal dotykając ziemi zwieszonymi nogami. Łatwo zrozumieć, że w takich warunkach o wciśnięciu się do wnętrza wagonu rozstrzygało prawo silniejszego. Nie próbując oczywiście korzystać z tego prawa, wróciliśmy pieszo, wśród nieznośnego upału, do Klimkówki. Niektórzy kuracjusze z zakładu kąpielowego w Rymanowie, chcąc za wszelką cenę dostać się do miejsca stałego swego pobytu, czekali całymi dniami na stacji, by wreszcie wdrzeć się do pożądanego pociągu.

Nazajutrz wysłałem dwa listy do Lwowa, a mianowicie do ks. wicerektora Weredyńskiego i do ks. profesora Lisowskiego. W listach przedstawiłem swoją daremną próbę dostania się do nich; nadto pierwszego prosiłem, by mnie tymczasem wyręczył w zarządzie Seminarjum, drugiego zaś, by się w mojem zastępstwie zaopiekował aktami wydziału teologicznego. Kiedy później z ich listów dowiedziałem się, że kilkudziesięciu kleryków lwowskich wysłano na żądanie austriackiego rządu do szpitali w Tarnopolu, Czortkowie, Trembowli i Zaleszczykach, napisałem do tychże kleryków kartki z serdecznem pozdrowieniem i gorącym wezwaniem, aby jak najgorliwiej pełnili swój nowy obowiązek. Kartki te jednak rąk adresatów nie doszły; trzy wróciły pocztą do Klimkówki.

Tymczasem większość powołanych z okolicy rezerwistów, przybywszy do Sanoka, nie otrzymała zaraz ani munduru, ani wiktury wojskowej, lecz musiała przez dłuższy czas wałęsać się beczynn timer po mieście i przed-

mieściach, które skutkiem tego stały się podobne do olbrzymiego obozu; niektórzy, nie mając co jeść i gdzie mieszkać, wracali, za pozwoleniem przełożonych, na kilka dni do swoich rodzin.

Pierwsza połowa sierpnia przyniosła cały szereg nowych wojen. Najpierw we Francji i Rosji zarządzono powszechną mobilizację; w odpowiedzi na to uczyniono to samo pierwszego sierpnia w Niemczech, przyczem wysłano równocześnie ultimatum do Rosji i Francji. Tegoż dnia, wobec nieprzyjaznych kroków Rosji nad granicą niemiecką, rozpoczęła się *de facto* wojna rosyjsko-niemiecka. Trzeciego sierpnia wypowiedziały Niemcy wojnę Francji, czwartego Belgji, a Anglja wypowiedziała ją Niemcom, piątego Czarnogóra Austrii, szóstego Austrija Rosji, a Serbja Niemcom, jedenastego Czarnogóra Niemcom, wreszcie trzynastego Francja i Anglja Austrii. Czegoś podobnego, jak świat światem chyba nie było.

Po ściągnięciu rezerwistów przyszedł rozkaz, by gmina dostarczyła robotników do prac fortecznych w Przemyśle, a nadto podwód i bydła. Skutkiem tego 18 robotników, przeważnie młodych chłopców, udało się do twierdzy przemyskiej, 25 podwód dwukonnych wyjechało do Birczy, a 70 przeszło sztuk bydła pognano do Załuża; podwody i bydło odesłano później także do Przemyśla.

Wśród tego rozeszła się po świecie wieść, że wielkoduszny Papież Pius X skończył, po krótkiej chorobie, swą pielgrzymkę ziemską. Ojcowskie jego serce pękło z boleści na widok tej strasznej pożogi wojennej, która się rozpętała nad całą Europą. Dzienniki donosiły, iż Papież płakał na samo wspomnienie, że tyle milionów ludzi weźmie udział w śmiertelnych zapasach wojennych.

Wypowiedzenie przez Austrię wojny Rosji oddziało podniecająco na umysły nasze. Byliśmy wszyscy przekonani, że na zegarze dziejów wybiła długo wyczekiwana godzina naszego wyzwolenia, że naród polski powinien wyzyskać korzystną wyjątkowo chwilę, a więc chwycić za oręż i stanąć po stronie Austrii, czyniącej nam pewne obietnice. W ten sposób powstała myśl utworzenia polskich legionów, na które miały się złożyć przede wszystkim istniejące już stowarzyszenia sokole i drużyny bartoszwowe. Większe miasta galicyjskie zobowiązały się dać na legiony krocie tysięcy; za ich przykładem poszły mniejsze miasta, miasteczka i sioła. To też wnet zaroił się cały kraj od legionistów. Mała ich garstka, złożona przeważnie z synów mieszczańskich, zebrała się także w Rymanowie, odbywając ćwiczenia, marsze i pochody, ku wielkiej radości patriotycznych widzów. Jeden z takich pochodów odbył się w Rymanowie z większą uroczystością. Wygłoszono wówczas na rynku dwie mowy i odśpiewano austriacki „Hymn ludu“ po polsku i hebrajsku (*sic*). Bezpośrednio potem gromada żydów (z których zapewne ani jeden do legionów nie wstąpił) urządziła osobny, drugi pochód, wznosząc co chwila nieprzyjazne okrzyki przeciw Rosji: *Die Russen müssen sterben!*

Wspomnianą garstkę legionistów rymanowskich, liczącą 33 żołnierzy, otoczył opieką tamtejszy komitet obywatelski, na którego czele stanął lekarz rymanowski dr. Bielecki.

Komitet zażądał ofiar od okolicznego duchowieństwa i obywatelstwa. Do Klimkówki przybyli w tym celu pp.: Józef hr. Potocki, właściciel obszaru dworskiego w Rymanowie, adwokat dr. Janota i naczelnik sądu Żmudzkiński. Jawili się także u mnie. Złożyliśmy z ks. Balickim

dość znaczne datki, choć nie wiedzieliśmy, co się stanie w przyszłości z naszą pensją profesorską.

Na jedno z posiedzeń tegoż komitetu zaproszono z Klimkówki: ks. Balickiego, ks. proboszcza Jana Wolskiego i mnie. Przyszliśmy na nie w oznaczonym czasie pierwsi razem z księżmi rymanowskimi. Po godzinie zebrało się oko'ło dwadzieścia osób przeważnie z miejscowej inteligencji. Obok innych przybył: wspomniany przed chwilą Józef hr. Potocki i brat jego Jan, właściciel zdrojowego Zakładu rymanowskiego. Przewodniczący dr. Bielecki, zagaivszy posiedzenie, zwrócił się w dłuższem przemówieniu do przedstawicieli duchowieństwa z życzeniem, by ono, korzystając z swego wpływu, pouczało lud o ważności obecnej chwili, budziło w nim uczucia patriotyczne i zachęcało do wstępowania w szeregi legjonów. W tym samym duchu przemówił Jan Potocki. Z obu tych przemówień odniosłem wrażenie, że świeccy uważają siebie za lepszych patriotów, aniżeli duchowieństwo, i że, zasłaniając przed wszelką odpowiedzialnością siebie, chcą tegoż duchowieństwa użyć do werbowania legionistów. Jako najstarszy pośród obecnych na posiedzeniu księży poczuwałem się do obowiązku dania odpowiedzi obu mowcom. Zaznaczyłem tedy, że duchowieństwo nasze słynęło zawsze z najszlachetniej pojętego patriotyzmu, że przez wieki całe uczyło wszystkie bez wyjątku warstwy narodu najczystszej miłości Ojczyzny, że ten wzniosły obowiązek chce i dziś wiernie spełnić, że nadto w tej wielkiej chwili dziejowej będzie całem sercem błogosławiło tym, którzy dla sprawy Polski staną pod bronią, że jednak nadużyłoby swego świętego urzędu, gdyby się zajęło werbowaniem ochotników do legjonów, bo ta rola nie do niego należy. Z odpowiedzi tej był widocznie ogół zadowolony; niektórzy świeccy przykla-

snęli jej szczerze. Kiedy później na tem samem posiedzeniu poruszono myśl zbierania funduszków na rzecz legionów wśród ludu, zabrałem ponownie głos oświadczając, że duchowieństwo może gorąco zachęcić lud do dawania ofiar na ten cel, a nawet zając się osobiście zbieraniem składek.

W rzeczy samej składki takie odbyły się w wielu gminach. W Klimkówce urządziliśmy ją po nieszpórach dnia 23 sierpnia. Ks. Balicki i ja wybraliśmy się do południowej części wsi, a ks. proboszcz z jednym członkiem Komitetu rymanowskiego do północnej. Lud witał nas w swoich domach bardzo uprzejmie i składał chętnie swój grosz. Zdarzało się, iż biedacy dawali wcale pokazne kwoty. W ten sposób zebraliśmy na rzecz legionów trzysta siedemdziesiąt koron.

Niedługo potem odbyło się w Rymanowie uroczyste pożegnanie legionistów, którzy mieli odjechać do Sanoka. Po wspólnym obiedzie w kasynie udano się do kościoła, gdzie ich ks. proboszcz Józef Wolski pobłogosławił i serdecznie do nich przemówił. Wychodzących z kościoła ochotników obsypała publiczność kwiatami, poczem ruszono przed sklep Nadziakiewicza. Tu żegnał ich imieniem miasta i okolicy Jan hr. Potocki. Gdy stąd legjoniści ruszyli na stację kolejową we Wróbliku, towarzyszyło im wiele osób. Przed samym odjazdem z dworca ofiarowano odjeżdżającym kwiaty i owoce, tudzież odśpiewano: „Jeszcze Polska nie zginęła“, poczem pociąg ruszył w stronę Sanoka.

Wnet potem przybył do Rymanowa od wschodu inny oddział legionistów, który miał zabawić w Zdroju przez dłuższy czas celem odbywania ćwiczeń. Okoliczne wsie dostarczały mu żywności; sama Klimkówka posłała jednorazowo cztery fury jarzyn i zboża. Pewnego dnia

odwiedził mnie zbierający we wsi żywność oficer legjonistów, przynosząc wieść, że gdzieś we wschodniej Galicji sto tysięcy Rosjan dostało się do niewoli austriackiej. Nie dając wiary tej wieści (podobne zjawiały się często, aby się wnet okazać fałszywymi), powiedziałem mu, iż ucieszyłbym się więcej, gdyby tych schwytanych Rosjan było tylko kilka tysięcy.

W rzeczywistości po małym zwycięstwie, odniesionem przez Austriaków pod Kraśnikiem, wojska austriackie, gromione przez przeważające siły rosyjskie, zaczęły się wycofywać z Galicji wschodniej, o czym na zachodzie zgoła nie wiadano. Dnia 3 września wkroczyli do Lwowa, wśród wielkiego popłochu mieszkańców, Rosjanie. Pierwsze wiadomości o rzeczywistym stanie rzeczy przywiózł do Klimkówki mój przyjaciel, ks. prałat Zajchowski, kanonik Kapituły lwowskiej, który 2 września późnym wieczorem zajechał do mnie wynajętą w Sannoku dorożką. Niespodziane zjawienie się tego kochanego gościa, w którego domu spędziłem wiele chwil miłych razem z ks. prałatem Puchalskim, proboszczem wyżniańskim i komisarzem dóbr arcybiskupich, najpierw bardzo mnie ucieszyło, a potem, gdy się zacząłem domyślać nieszczęścia, zaniepokoiło. W rzeczy samej po krótkich słowach powitania dowiedziałem się, że jeszcze przed kilku dniami dwadzieścia przeszło wschodnich powiatów Galicji było zajętych przez Rosjan, że dziś już zapewne stolica kraju jest w ich rękach¹, że on sam, należąc do Naczelnego Komitetu Narodowego musiał na jakiś czas Lwów opuścić. Ze Lwowa wyjechał dnia 31 sierpnia końmi kapitulnymi przez Gródek do Milczyc; z Milczyc

¹ W rzeczywistości przed południem dnia 3 września patrol rosyjski wkroczył do Lwowa.

przybył do Sambora; w Samborze natknął się na pociąg wiozący legionistów do Sanoka.

Łatwo zrozumieć, jak przykre wrażenie wywarły te wieści na mnie i na ks. Balickim, którego na powitanie gościa poprosiłem do swego pokoju. Mieliśmy nad czym myśleć i o czym mówić. Toż do późnej nocy rozmawialiśmy w trójkę o wszystkim, co nam może przynieść dalszy bieg wojny.

Na kilka dni przed przybyciem ks. Zajchowskiego do Klimkówki otrzymałem pocztówkę z łaskawem pozdrowieniem od ks. Arcybiskupa Bilczewskiego; w sam zaś dzień przybycia przyniesiono mi dwie korespondentki, wysłane przez ks. Lisowskiego. Ks. Arcybiskup wyraził życzenie, bym pozostał nadal w Klimkówce, ks. Lisowski doniósł mi ogólnikowo, że w Klimkówce bezpieczniej, niż we Lwowie, że alumni lwowscy, wysłani do Tarnopola i Czortkowa (ci ostatni po wielu przygodach), powrócili „z powodu wiadomego“ do Seminarjum, a potem z wyjątkiem kilkunastu, porożjeżdżali się do swoich domów, że nic nie wiadomo, co się stało z alumunami naszymi w Trembowli i Zaleszczykach, że od 28 sierpnia słyhać dokoła Lwowa huk armat, że w stronie Wyżnian widać wielką łunę, że ks. Puchalski musiał wraz z ks. wikarym i ludem opuścić Wyżniany, że w najbliższym czasie spodziewają się koło Lwowa rozstrzygającej bitwy.

W następnych dniach czyniłem wraz z moimi towarzyszami wycieczki do Rymanowa, Iwonicza i w sąsiednie góry, wszędzie i z wszystkimi rozprawiając tylko o wojnie. Często też wybiegaliśmy na niedaleki gościniec, by przypatrzyć się samochodom osobowym i towarowym które w wielkiej ilości jechały pospiesznie w stronę wschodnią. W święto Narodzenia Matki Boskiej urządzi-

liśmy z miejscowym ludem procesję błagalną do słynącego od niepamiętnych czasów łaskami wizerunku P. Jezusa w kościółku, leżącym poza wsią, gdzie sumę śpiewał ks. Zajchowski, a rzewne kazanie powiedział z zapalem i namaszczeniem ks. Balicki.

Pewnego dnia obaj moi goście wybrali się po południu do Rymanowa, aby, jak się później okazało, zaopatrzyć lepiej moją spiżarnię. Oczekując ich wieczorem, chodziłem zadumany po ogrodzie, gdy nagle usłyszałem gdzieś daleko od strony wschodniej przysłuszony strzał armatni; za tym strzałem odezwało się kilka innych. Były to dla mnie pierwsze bezpośrednie znaki wojny. Więc pożoga wojenna, pomyślałem sobie, zbliża się do nas. Kiedy goście wrócili, okazało się, że i oni słyszeli huki złowrogie. Nie było więc wątpliwości, iż wojska rosyjskie posuwają się zwycięsko na zachód.

W tym też czasie przyszedł z Rymanowa do wsi, żandarm z kilku żołnierzami, aby odjąć serca i liny od dzwonów kościelnych, a przez to uniemożliwić ewentualne dawanie sygnałów zapomocą dzwonienia. Milczenie dzwonów potęgowało jeszcze więcej tajemniczą grozę nadchodzących wypadków.

Tymczasem przychodziły zewsząd wiadomości coraz smutniejsze. Wreszcie gruchnęła wieść, iż za 24 godzin przybędą do wsi na kwaterę cofające się wojska austriackie. Wobec tego ks. Zajchowski i Balicki postanowili jak najrychlej wyjechać gdzieś na zachód. Ja miałem pierwotnie nie ruszać się z miejsca. Gdy jednak zasta nowiłem się nad tem, że zostając w Klimkówce, nie pomogę przez to nikomu, siebie zaś narażę na wielkie niebezpieczeństwo, że dalej wojna może się ciągnąć długo, a ja nie mam przy sobie większej kwoty pieniężnej, zdecydowałem się towarzyszyć moim gościom i posze-

dłem tę decyzję przedstawić swej rodzinie. Mieszkająca w niedalekiem sąsiedztwie Siostra zrozumiała od razu powody mojego zamierzonego wyjazdu, chociaż zalewała się rzewnymi łzami.

Dnia 18 września o godzinie pół do czwartej po południu zajechał pod dom mój szwagier, by nas odwieźć na dworzec kolejowy w Krośnie, skąd mieliśmy się udać do Jodłowej albo do Gorlic. Jodłowa, w której był proboszczem ks. Ziomba, kolega ks. Zajchowskiego, wydawała się ks. prałatowi bezpieczniejszą, niż Gorlice; w Gorlicach był proboszczem ks. Sos, także kolega ks. Zajchowskiego, a jego i mój najlepszy przyjaciel. Do wozu wsiadł razem z nami ks. Miętus, chory deficyjent, który bawił kilka tygodni u proboszcza klimkowskiego. Przykro mi było opuszczać rodzinę, proboszcza, kościół, dom, wioskę. Tu i ówdzie wychodzili z mieszkań ludzie, by przypatrzeć się naszemu całkiem niespodziewanemu wyjazdowi. Żegnałem ich z daleka skinięciem ręki. W sercu czułem ciężką boleść, bo nasuwała mi się myśl, że może tutaj już nigdy nie wrócę albo, jeśli wrócę, zastanę pustkę i zniszczenie.

W Miejscu Piastowem natknęliśmy się na ciągnący się bez końca tabor wozów, który jechał gościńcem od Łęczan w stronę Dukli. Był to podobno tren, należący do rozbitej armji Aufenberga; zdążał rzekomo na Węgry, aby tam wypocząć i uzupełnić swe braki. Przybywszy do Krosna, gdzie zastaliśmy wielkie mnóstwo wojska, pojechaliśmy odrazu na dworzec, aby się dowiedzieć, kiedy będzie odchodził najbliższy pociąg w stronę Jasła, poczem udaliśmy się najpierw do starostwa, aby uzyskać potrzebną do jazdy kolejowej legitymację, a następnie do ks. Mazanka, katechety Seminarjum nauczycielskiego (a późniejszego proboszcza w Łańcucie). Ten

pełniąc obowiązki kapelana przy Czerwonym Krzyżu, a przez to stykając się często z wojskowymi, sądził, iż przynajmniej jeden miesiąc można całkiem bezpiecznie mieszkać w Krośnie. Z jego też ust usłyszałem z boleścią, że kozacy mieli wyciąć języki dwudziestu klerykom lwowskim, wziętym do niewoli w Trembowli, gdzie w szpitalu pielęgowali rannych. Na szczęście w wieści tej, jak słę okazało później, tyle tylko było prawdy, że owych kleryków wywieziono do Tomska.

Z Krosna miał wyjść najbliższy pociąg do Jasła o pierwszej w nocy; w rzeczywistości wyszedł dopiero trzy kwadranse na piątą nad ranem. Czekaliśmy tedy przez kilka godzin na dworcu kolejowym, patrząc na widniejącą od północy lunę i na grupę Rusinów, uwięzionych przez rząd austriacki za sprzyjanie Moskałom, a otoczonych wówczas silną strażą. Grupa ta, do której należało około piętnastu młodych i starych księży, odjechała w naszych oczach, do Linza.

Przyjechawszy około ósmej rano do Jasła, wybraliśmy się z dworca do miasta, aby głód zaspokoić, na dworcu bowiem nie można było dostać do jedzenia. W drodze spotkaliśmy ks. Łonickiego, proboszcza w Bieździedzy, który szedł pośpiesznie na kolej, aby, jak nam mówił, wyjechać do Wiednia. Od niego dowiedzieliśmy się także, że Jasło jest przepełnione wojskiem, że Aufenberg stoi obecnie kwaterą w pałacu Sroczyńskiego w Gorajowicach, że, o ile wiadomo, pobyt w jasielskiem wogóle, a w Jodłowej w szczególności nie jest bezpieczny. Wobec tego postanowiliśmy jechać do Gorlic. Pożegnawszy ks. Łonickiego, zetknęliśmy się na ulicy z p. Górskim, starszym radcą przy jasielskim sądzie obwodowym, a ks. prałata i moim znajomym. Pan Górski wskazał nam kawiarnię, gdzie wobec wielkiego natłoku

ledwo doprosiliśmy się kawy, a potem zabrał nas do swego gościnnego domu na miłą pogawędkę i drugie śniadanie.

Wróciwszy przed południem na dworzec i kupiwszy bilety, dostaliśmy się wreszcie, z wielką trudnością i wśród niesłychanego ścisku, do pociągu, który o pół do trzeciej po południu przywiózł nas do Zagórzan. Tutaj wysiedliśmy, aby innym pociągiem pojechać do niedalekich Gorlic. Pociąg ten miał odchodzić za dwie godziny. Tymczasem po upływie tego terminu nikt, nawet żaden urzędnik kolejowy, na pewno nie wiedział, czy pociąg w ogóle odejdzie. Wobec tego rozpoczęły się na peronie łatwo zrozumiałe wykrzykiwania na doznany zawód: „Jak się dziwić, wołał ktoś głośno wobec urzędników kolejowych, że przy takim bezładzie biją Austriaków. To bezgłowie, które panuje na kolei, panuje w całej armii“. Zdawało się przez chwilę, że przyśłuchujący się tym słowom urzędnicy każą aresztować śmiałego jegomościa. Natomiast oni, zwalając winę na wyższą władzę, powtarzali to samo. Kiedy nareszcie około ósmej wieczorem ogłoszono nam, że dzisiaj pociągu do Gorlic nie będzie, wysłaliśmy z dworca posłańca do ks. Wilkiewicza, proboszcza w Zagórzanach, z prośbą o konie do Gorlic, a niedługo potem poprosiliśmy podróżnych, odjeżdżających wozem do Gorlic, aby tam dali znać ks. Sosowi o naszym położeniu i naszej potrzebie.

Po chwili stanęły przed nami konie proboszcza zagórzeńskiego. Wsiedliśmy do wózka i ruszyliśmy z dworca. Noc była dżdżysta i ciemna. Gościńcem jechały naprzeciw nam bez przerwy podwoły trenu wojskowego. Stąd każdej chwili groziło nam niebezpieczeństwo wjechania do rowu lub zderzenia się z jakim wozem, tem bardziej, że wielu woźniców, jak się niebawem przekonaliśmy,

drzymało. Aby to niebezpieczeństwo zmniejszyć, trzymaliśmy wysoko wyjętą z wózka latarnię zapaloną, a nadto bez przerwy, na cały głos, wołaliśmy po polsku i niemiecku: *Stój, Halt, na lewo, links, na prawo, rechts!* W połowie drogi z Zagórzan do Gorlic nadjechały konie ks. Sosa. Tóż, odprowadzając służącego z plebanji zagórzańskiej, przybyliśmy niemi przed północą na probostwo gorlickie, zgłodniali i zmęczeni.

W Gorlicach, gdzie ongi jako wikariusz spędziłem pierwszy rok kapłaństwa, zastaliśmy prócz miejscowego duchowieństwa kilku obcych księży. Przybyli tam, podobnie jak my, szukając bezpiecznego schronienia. Niestety, widmo wojny zaczęło niebawem grozić i temu miastu. Coraz częstsze wozy przewożyły tędy licznych uchodźców, którzy jechali w stronę Grybowa, a wśród których nie brakowało także kapłanów z Galicji wschodniej i środkowej. Równocześnie napływało wojsko, rozsiadając się po mieście i wsiach okolicznych, tudzież czyniąc po sklepach i domach rozmaite zakupy. Przelatujące raz po raz aeroplany świadczyły również o nadchodzącej burzy. Wierni gromadzili się tłumnie we wspólnym kościele parafialnym nie tylko na nabożeństwo ranne, lecz także na nowenne wieczorną, której przewodniczył ks. proboszcz.

Gdy coraz więcej osób zaczęło opuszczać miasto, bawiący w niem księża zebrali się na naradę w mieszkaniu proboszcza. W więzieniu gorlickim stracił niedawno temu rząd austriacki prawosławnego księdza Maksyma Sandowicza, który pochodził z powiatu gorlickiego i szerzył w rodzinnej wsi Grabie prawosławie. Ten fakt nasuwał nam trwożliwą myśl, że Rosjanie, zając Gorlice, zechcą się mścić na tutejszem duchowieństwie, co tem bardziej wydawało nam się prawdo-

podobnem, iż ze wschodniej części kraju przychodziło wiele wieści o popełnionych tam przez Moskali okrucieństwach. Wobec tego uchwaliliśmy usunąć się w ostatniej chwili z miasta; tylko mój kolega ks. katecheta Świeykowski, który później odegrał historyczną rolę¹, oświadczył, że pozostanie w Gorlicach.

Dnia 26 września zaczęto kopać rowy strzeleckie na wzgórzach, leżących od strony Sękowej i na miejscowym cmentarzu, a nazajutrz polecono mieszkańcom niektórych gmin, sąsiadujących z Gorlicami, aby się przygotowali do opróżnienia swoich domów. Wobec rosnącego coraz bardziej niebezpieczeństwa uradziliśmy wyjechać w wilgę św. Michała w czwórkę: ks. Zajchowski, ks. Sos, ks. Balicki i ja. Później jednak ks. Balicki postanowił wraz z ks. Świeykovskim wytrwać na miejscu. Woźnicą naszym uczyniliśmy mego siostrzeńca, który wraz z innymi studentami uszedł z Klimkówki do Gorlic, lękając się, żeby go Rosjanie nie wcielili do swego wojska.

Zaraz po Mszy św. dnia 28 września zabraliśmy się z ks. Zajchowskim na plebańskim folwarku do nakrycia drabiniastego wozu. Przymocowaliśmy tedy nad nim drewniane obręcze i poprzywiązywali do nich rozciągnięte płótno. Gdy po południu wóz zajechał przed plebanję, rozpoczęliśmy pakowanie rzeczy. Stojący przy wozie proboszcz żegnał się wśród łez z parafjanami, którzy szli do kościoła na nowennę.

Zaopatrzeni w rozmaite legitymacje dla siebie i koni, które bez osobnych legitymacyj mogły być bardzo łatwo zabrane przez wojsko, wyruszyliśmy o piątej po południu w stronę Szymbarku. Mieliliśmy zamiar jechać powoli do

¹ Przeżyte w oblężonych Gorlicach miesiące opisał dzielny ks. Świeykowski w pamiętniku p. t.: *Z dni grozy w Gorlicach*, Kraków 1919.

położonego wśród gór Łącka nad Dunajcem, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć kąt bezpieczny nawet wtedy, gdyby wojska rosyjskie posuwały się zwycięsko do Krakowa. Choć desz padał, a droga była usłana błotem, byliśmy z jazdy zadowoleni; staraliśmy się nawet być w dobrym humorze. Wyjechawszy jednak z Gorlic późno, nie mogliśmy, jak zamierzaliśmy pierwotnie, dotrzeć na nocleg do Ropy, ale musieliśmy się zatrzymać w Szymbarku. Zajechaliśmy do ks. proboszcza Wachowicza, który, chociaż co chwila musiał gościć u siebie rozmaitych uchodźców, a nadto miał u siebie na kwaterze oficerów i prostych żołnierzy, przyjął nas bardzo serdecznie. Po wieczrze i miłej pogadance, zostawiłem swoich towarzyszy na plebanji, a poszedłem na dziedziniec do naszego wozu, aby na nim razem z siostrzeńcem noc przepędzić. Nie podobna było bowiem powierzyć wozu, na którym się znajdowały cenne przedmioty, opiece samego siostrzeńca.

Zapaliwszy na wozie latarnię, którą wieźliśmy z sobą, urządziliśmy sobie dość wygodne legowisko. Potem, nakrywszy się dobrze futrami i kocami położyliśmy się, ale tak, że przez pierwszą część nocy miałem ja czuwać, a przez drugą siostrzeniec. Latarnia migotała dość długo. Chwilami padał rześisty deszcz, niekiedy zrywał się silny wiatr, podnosząc w górę rozpięte nad naszemi głowami płótno. Od czasu do czasu słychać było niemiecką mowę żołnierzy, wyjeżdżających z podwórza lub dobijających się do pobliskich stajni i gumna, aby w nich znaleźć nocleg dla siebie i koni. Niektórzy podchodzili do naszego wozu i zaglądali nam w oczy; w odpowiedzi na to poruszeniem ciała lub głosem dawał śmy do poznania, że czuwamy. W takich okolicznościach o śnie nie mogło być oczywiście mowy; dopiero nad ranem zdrzemnąłem się na chwilę.

Z nastaniem dnia poszedłem na plebanję, aby obudzić towarzyszy i obmyć się, poczem udałem się do kościoła. Była to uroczystość św. Michała. W Klimkówce, pomyślałem sobie, dzisiaj odpust. Jakże on smutnie tego roku się odbędzie! A może tam już niema ni świątyni Pańskiej, ni domów, może wszystko spalone i z ziemią zrównane, może ludzie częścią pozabijani, a częścią rozprószeni. Takie myśli nasuwały mi się do głowy, gdy chodziłem naokoło zamkniętego jeszcze kościoła szymbarskiego. Po chwili otworzył go kościelny, za którym nadeszło kilka kobiet, modląc się głośno i płacząc.

Odprawiwszy Mszę św. zabraliśmy się z ks. Zajchowskim do naprawiania wozu: brakowało mu w środku półkoszka, skutkiem czego mogliśmy bardzo łatwo pogubić w drodze wiezione przedmioty. Trzeba więc było szukać po wszystkich kątach podwórza deszczulek i, mimo dnia świętego, objąć niemi środkową część wozu. Po godzinie dokonaliśmy z zadowoleniem dzieła; gdy jednak, przygotowawszy wszystko do dalszej podróży, pragnęliśmy wyjechać, rasowa a znarowiona klacz ks. Sosa, która wczoraj zachowywała się dość poprawnie, zaczęła się niepokoić; mimo rozmaitych prób, mimo pomocy chętnych żołnierzy, nie chciała ruszyć z miejsca, a jeśli ruszyła, to po paru krokach stawała, albo nawet wstecz się cofała. Wreszcie po długich mokołach, udało nam się wyjechać na bity gościniec sąsiedni. Odtąd szło nam na chwilę trochę lepiej, ale niezupełnie dobrze. Jadący samochodem żołnierz wyrwał dla żartu bicz z ręki powożącego siostrzeńca. Gorsze to, że klacz popisywała się od czasu do czasu swemi zuchwałemi narowami, wskutek czego musieliśmy przeważnie iść pieszo wśród ogromnego błota, mijając zmierzające w stronę Gorlic kolumny wojska i leżące w rowie trupy końskie. Najcięższe chwile,

a było ich wiele, przeżywaliśmy, ilekroć zjawiał się przed nami samochód; chociaż zdaleka dawaliśmy znak, aby jechano powoli i chociaż najczęściej spełniano nasze życzenie, jednak klacz rzucała się na boki i posuwała w tył, przyczem za każdym razem byliśmy w niebezpieczeństwie wywrócenia się lub przynajmniej wjechania do rowu. Kiedy zaczęliśmy zjeżdżać z wysokiej góry ropskiej, klacz, ujrawszy nadjeżdżający samochód, poczęła skakać i bić tylnymi nogami tak gwałtownie, że potargała na sobie uprząż. Wówczas, po jakim takim naprawieniu uprzęży, wziąłem sam na chwilę lejce i, poleciwszy się Bogu, tudzież przestrzegłszy towarzyszy, aby nie wsiadali na wóz, na którym pozostałem z siostrzeńcem, próbowałem okiełzać rozszalałą klacz i spuszczać się powoli ze spadzistej góry. Przychodziło mi to niełatwo, tem bardziej, że zimny deszcz wraz z gradem zaczął nas smagać niemiłosiernie. Przez dłuższą chwilę nie zabiegał nam drogi żaden samochód. Zjawił się jakiś dopiero przed samym Grybowem. Napróżno wówczas kroczący przed wozem ks. Sos dawał znak chustką, aby samochód zwolnił biegu. Jadący nim oficer, choć widział i znak i skaczącą ze strachu klacz, pędził dalej z szyderczym uśmiechem. Wówczas klacz rzuciła się w bok i pchnęła w tył hamowany (zapomocą odpowiedniego przyrządu) przez ks. prałata wóz, który wywrócił się do bardzo głębokiego rowu. Na szczęście siostrzeniec zawczasu wyskoczył z wozu na brzeg, a ja miałem tyle czasu, że nie dałem się nakryć; konie, nad którymi sterczał koniec dyszla, zostały na gościńcu. Wóz był cały, popękały tylko w części obręcze, dźwigające nakrycie.

Przez chwilę patrzyliśmy z uczuciem pewnego przygnębienia i smutku na wóz wywrócony; żalowali nas także idący i jadący drogą uchodźcy. Bądź co bądź,

jazda nasza skończyła się niedobrze, a mogła skończyć się stokroć gorzej. To też siostrzeniec oświadczył mi ze łzami w oczach, że takimi końmi powozić dalej nie może, w czym musiałem mu przyznać słuszość. Gdy ochłonęliśmy z pierwszego wrażenia, ks. Sos udał się na plebanję grybowską, aby tam poprosić o pomoc; z drogi przysłał nam trzech żołnierzy Słowieńców, którzy wyciągnęli wóz na drogę i przełożyli nań razem z nami pakunki. Tymczasem probosz gorlicki wrócił z miasta w towarzystwie jakiegoś poczwiwego wojskowego, który swoje konie zaprzął do naszego wozu i przywiózł nas na plebanję.

Około pół do drugiej z południa stanęliśmy na podwórzu probostwa grybowskiego. Jak w mieście całym, tak i tutaj zastaliśmy nieprzejrzanę mnóstwo żołnierzy. Trzydziestu oficerów stołowało się na plebanji; zabudowania plebańskie były przepełnione końmi wojskowemi, gdy bydło proboszcza stało na chłodzie i na deszczu w małym ogródku; nadto dość duży jego ogród roił się od wojskowego bydła, które brodziło po kolana w rozmieszanem błocie. Ks. proboszcz Tarziński, choć miał w pomieszkaniu pełno żołnierzy, przyjął nas gościnie. Podczas obiadu, opowiedziawszy gospodarzowi nasze przygody, zaczęliśmy się zastanawiać, co dalej czynić. Ponieważ było jasną rzeczą, że kara klacz nie może nam dalej służyć, przeto energiczny ks. katecheta miejscowy Chęciński, bawiący razem z nami na probostwie, radził, by ją albo sprzedać albo oddać na przechowanie gospodarzowi, który kryje u siebie konie ks. Tarzińskiego; do drugiej klaczy możnaby dobrać jakiego konia i jechać tym samym wozem dalej. Lepszej myśli nikt nie mógł poddać. Tymczasem przywiązana do wozu klacz czarna urwała łańcuszek i wskoczyła przedniemi

nogami na wóz, poczem jak szalona biła tylnemi i nie pozwoliła nikomu do siebie przystąpić. Dopiero po pewnym czasie zdołano ją uspokoić i uwiązać z zewnątrz do ściany stajni.

Po kolacji ks. Sos poszedł spać do ks. Chęcińskiego, natomiast ks. Zajchowski i ja zaczęliśmy (razem z siostrzeńcem) przygotowywać się do noclegu na naszym wozie. Wnet jednak przybył do nas ks. Rzepka, młody wikary grybowski, który acz gościł u siebie ks. Gadowskiego z Tarnowa, zapraszał nas bardzo na wikarówkę. Broniliśmy się długo, ale ostatecznie nie mogliśmy nie przyjąć ofiarowanej nam przysługi, za którą też byliśmy ks. wikaremu bardzo wdzięczni. Z plebanji przyniesiono na podłogę słomy i prześcieradła, księża wikarzy dali nam poduszki i nakrycia; zdrożeni spaliśmy znakomicie.

Nazajutrz, oglądnąwszy dość szczegółowo nowy kościół parafjalny, który, jakkolwiek jeszcze nieskończony, bardzo nam się podobał, odwiedziliśmy ks. Ostrowskiego, proboszcza z Warzyc. Przyjechał on tutaj przed paru dniami wraz rodziną i znajomymi, zamieszkał na końcu miasta w jakimś opuszczonym domu.

Po obiedzie, spożytym znowu z łaski ks. Tarzińskiego, oświadczył nam ks. Chęciński, że ów gospodarz, który przechowuje konie proboszczowe, nie może przyjąć karej klaczy, bo nie ma dla niej u siebie miejsca, że przeto nie pozostaje nic innego, jak ją sprzedać, tudzież że na jego zamówienie pewien chłop z wsi sąsiedniej przyprowadzi nam konika, który z drugą klazą (gorlicką) może nas odwiedzić przynajmniej do Nowego Sącza. Lecz na sprzedanie czarnej klaczy, która mimo swoich wad, miała wielką wartość, potrzeba było dłuższego czasu. Z drugiej strony wiedzieliśmy dobrze, iż zwlekanie jest niebezpieczne, że chłop, który dziś okazuje gotowość do

jazdy z nami, może jutro będzie się lękał o los swój i swego konia i nie zechce się z domu wydalać. Po dłuższych naradach skończyło się na tem, że ks. Sos postanowił zatrzymać się w Grybowie, a ks. Zajchowski i ja z siostrzeńcem wyjechaliśmy około trzeciej po południu na pożyczonym u ks. Tarzińskiego wózku; wiozł nas swoim gniadym konikiem wspomniany przed chwilą wieśniak, którego zamówił dla nas ks. Chęciński, a który nazywał się Franciszek Kmach. Konik szedł żwawo i, co dla nas było najważniejsze, nie bał się wcale samochodów.

Na drodze spotykaliśmy znowu oddziały wojska, maszerujące w stronę wschodnią, tudzież konie zdechłe, które leżały niezagrzebane w przydrożnych rowach i na polu. Już się ściemniało, jak przybyliśmy do Nowego Sącza, gdzie zastaliśmy pełno wojska i ruch niezwykły. Wszystkie place i ulice roiły się od żołnierzy, powozów i automobilów. Mówiono, że tutaj przebywał wówczas szef austriackiego sztabu generalnego, Konrad von Hetzen-dorf. Tutaj też urzędowało czasowo galicyjskie Namiestnictwo.

Ponieważ wszystkie pokoje w hotelach były zajęte, przeto, korzystając ze wskazówki, danej nam na samem odjeździe z Grybowa przez ks. Chęcińskiego, zwróciliśmy się do jego przyjaciela, p. Buczera, przemysłowca mieszkającego przy ulicy Jagiellońskiej. Pan Buczer i jego żona, usłyszawszy nazwisko ks. Chęcińskiego, przyjęli nas życzliwie i ofiarowali nam duży pokój; pamiętali również o naszym woźnicy i jego gniadym koniku.

Następnego dnia, a był to pierwszy października, załatwiliśmy przed południem rozmaite sprawy w mieście. Chodząc po ulicach, spotykaliśmy od czasu do czasu znajomych, jak np. p. Pilata, wicemarszałka krajowego,

który nam powiedział, że Namiestnictwo przenosi się właśnie do Białej, tudzież ks. Jałowego, katechetę z Rzeszowa i ks. Ziajkę, pełniącego wówczas obowiązki kapelana wojskowego.

Nie mogąc dostać powozu, któryby nas odwiózł do Łącka, nalegaliśmy na naszego pocziwego Franciszka, aby nam wyświadczył i tę przysługę. Nie miał do tego wielkiej ochoty, bo lękał się, aby mu nie zabrano konia, ale nie odmówił naszej prośbie, gdyśmy mu zaręczyli, że wyrobimy mu odpowiednią legitymację i że w razie utraty konia wynagrodzimy poniesioną szkodę.

Zjadłszy obiad i pożegnawszy państwo Buczerów, opuściliśmy Nowy Sącz. Czas był dość pogodny i stosunkowo ciepły. Tuż za miastem spotkaliśmy tren, jadący w przeciwnym kierunku; zresztą wojska już nie było widać, a samochody rzadko pokazywały się na gościńcu. W Starym Sączu zastaliśmy na rynku ks. Litwina, katechetę gorlickiego, który, w towarzystwie swego starszego brata, także katechety (w Jarosławiu), i pani starościny gorlickiej, wyjechał z Gorlic przed kilku godzinami. Od niego dowiedzieliśmy się że ks. Sos, z którym rozstaliśmy się w Grybowie, sprzedał tamże konie z wozem i wrócił samochodem do siebie; on też powiedział nam w tajemnicy, że w szpitalu gorlickim sprawdzono kilka wypadków cholery, czego jednak pod surową karą rozgłaszać nie było wolno.

Już się dobrze ściemniło, gdy wózek nasz stanął na rynku w Łącku. Na razie musieliśmy się zatrzymać w żydowskim, ale mimo to dość schludnym „Hotelu Szczawnickim“. Zaraz na pierwsze wejście odbijał on korzystnie od otaczających go domków parterowych. Nazajutrz udaliśmy się po Mszy św. na plebanję, aby poprosić ks. proboszcza Piaskowego, którego znaleźmy oso-

biście, o udzielenie nam wskazówek w sprawie wynajęcia jakiegoś pomieszkania. Przyjął nas mile i zaprosił zaraz na śniadanie, które spożyliśmy w towarzystwie jego, dwóch księży wikarych i czterech bawiących na wakacjach alumnów Seminarjum tarnowskiego. Co do mieszkania, to sądził ks. Piaskowy, że wygodnego ani w Łącku, ani w najbliższem sąsiedztwie, teraz, gdy tyle rodzin przyjechało ze wschodu, nie dostaniemy; natomiast zaproponował nam uprzejmie, abyśmy osiedli w jego domu. Z chęcią zgodziliśmy się na to, ale oczywiście pod warunkiem, iż przyjmie od nas odpowiednie wynagrodzenie.

Tak tedy, wypłaciwszy umówioną należność Franciszkowi, który z zadowoleniem wracał do Grybowa, przenieśliśmy swoje rzeczy z hotelu na plebanję. Plebanja łącka, w której u poprzednika ks. Piaskowego bawili tacy goście, jak ks. arcybiskup warszawski Feliński, ks. biskup wileński Krasiński i jego następca ks. biskup Hryniewicki, była dla nas prawdziwem dobrodziejstwem Opatrzności. Gdy tysiące mieszkańców Galicji, opuściwszy domowe pielesze, tułało się po kraju i za krajem bez dachu nad głową i bez kawałka chleba, my mieliśmy mieszkanie wygodne i zdrowy pokarm, a przytem kościół w najbliższem sąsiedztwie, oraz dobrane towarzystwo na zawołanie.

Mimo to wszystko, było mi ciężko w Łącku i cniło mi się bez zwykłych zajęć. Czas dłużył się nieznośnie. Deszcz, zmieszany ze śniegiem, padał niemal co chwila, zimno przejmowało nieraz aż do szpiku w kościach; dni pogodne i ciepłe należały do bardzo rzadkich wyjątków. Nie wiedziałem nic, co się dzieje we Lwowie i w Klimkówce: w pierwszym gospodarowali Moskale już drugi miesiąc, przez drugą przynajmniej przeszli. Co będzie z nami, co z krajem w przeważnej części już zniszczo-

nym, co z nieszczęśliwym narodem, który tyle ponosi ofiar? Oto pytania, wstrząsające raz po raz mem zboleiałem sercem. Cierpienia te potęgowały się jeszcze więcej z braku naukowej pracy. Zresztą umysł mój był tak rozstrojony, że mogłem czytać tylko lekkie rzeczy.

Bywało, że chcąc na chwilę zapomnieć o nieszczęściu, wychodziliśmy z ks. Zajchowskim, mimo deszczu i błota, na przechadzkę, najczęściej w stronę Maszkowic, gdzie na pustem dziś wzgórzu mieszkał ongi w swym zamku nieśmiertelny pogromca krzyżaków pod Grunwaldem, Zyndram. Jednej niedzieli pojechaliliśmy po obiedzie do ks. proboszcza, jubilata w Kamienicy, gdzie zastaliśmy ks. Koszałkę, katechetę z Korczyny. Kiedy indziej, wśród wyjątkowej pogody, wybraliśmy się pieszo do innej sąsiedniej parafji, aby odwiedzić ks. dziekana, którego nazwiska nie pomnę, i bawiącego u niego ks. Górkę, profesora Seminarjum duchownego w Tarnowie.

Po pewnym czasie dzienniki krakowskie, czytowane przez nas z ciekawością, doniosły ku wielkiej naszej radości, że pod Bieczem pobito na głowę kozaków (w rzeczywistości nie było tam wówczas żadnej bitwy) i że dzięki temu wojska rosyjskie, które podeszły aż pod Gorlice, cofnęły się ku wschodowi. Wnet czytaliśmy również, że wolne jest Jasło, a potem Krosno, że nawet Sanok i Lisko są znowu w naszych rękach. Z czasem wróciły tam starostwa, a w miejscowościach odzyskanych rozpoczął się ruch kolejowy i pocztowy. To też po długim czekaniu otrzymałem wreszcie list z Klimkówki od siostrzenicy. Pisała, mi że wszyscy nasi żyją, że ani rodzina, ani ja nie ponieśliśmy żadnych strat, że wogóle cała wieś wyszła z grożącego jej niebezpieczeństwa obronną ręką. Pierwszy patrol kozacki, objaśniał dalej list, którego treść uzupełniam tutaj kilku szczegółami, liczący

przeszło 20 ludzi, zjawił się w sąsiednim Rymanowie dnia 28 września o 9 rano. Miasto, pozbawione wszelkiej obrony (nawet żandarmerja uciekła w popłochu do Jaślisk), wywiesiło białą chorągiew. Wystraszeni żydzi przyjmowali kozaków, czem mogli, to też ci zachowywali się dość grzecznie, powtarzając „Ne boit sia, wy wże naszi, a my waszi“. Pomimo to wchodzili do sklepów i kazali sobie dawać, oczywiście darmo, co im się podobało, najczęściej żądali ulubionej, wódki; niektórzy zabierali przechodniom zegarki. Przez kilka dni następnych ścierały się między sobą nasze i rosyjskie patrole. W tym czasie Moskale dali kilka strzałów armatnich, z których jeden, trafiwszy w dom na Górnej Posadzie, roztrzaskał w nim dwie ściany i pokaleczył krowę. Na miasto padały chwilami kule karabinowe. Jedna z nich położyła trupem żyda, który przybył tutaj z Gródka. Inna przebiła na wkarówce okna i drzwi w dwóch pokojach, w których mieszkali ks. Moszoro, infułat lwowskiej kapituły ormiańskiej, bawiący w Rymanowie od kilku miesięcy, i miejscowy ksiądz wikary. Na polu proboszcza iwonickiego zginął wówczas porucznik rosyjski Hlebikow (tak mi go później nazwał ks. Wolski z Rymanowa); nadto patrol nasz zabił tam jednego kozaka, ranił kilku a jednego wziął do niewoli. W samej Klimkówce nie zaszło nic ważniejszego: kilku kozaków zjawiło się we dworze, nie czyniąc najmniejszej szkody; jeden zaglądnął do wsi tylko poto, aby poprzecinać druty telegraficzne. Czwartego października nadeszło do Rymanowa wojsko austriackie z Jaślisk, wobec czego Moskale uciekli. Następnego dnia jakiś generał austriacki kazał rozstrzelać w Rymanowie trzech Rusinów, podejrzanych o szpiegostwo; pochowano ich na Targowicy. Uwięziono też razem z 6 innymi kobietami pewną Rusinkę, która przyniosła do miasta z sąsiedniej Sieniawy



pierogi dla kozaków. Tegoż dnia znaczny oddział austriackich żołnierzy, prowadzony przez chłopca z Lubatowy, wpadł do Klimkówki przez góry od strony Zdroju iwonickiego.

Otrzymany list uspokoił mnie pod pewnym względem. Choć zakryte były przedemną losy Lwowa, byłem przynajmniej spokojny o Klimkówkę.

Tymczasem dzienniki donosiły o coraz dalszem posuwaniu się na wschód armji austriackiej, która miała dojść już do Miżyńca. Mimo że nie wiedziałem, czy od strony zachodniej kolej dochodzi do Rymanowa, postanowiłem wracać do Klimkówki, skoro tylko przysłano mi z Białej dwumiesięczną pensję profesorską. Pożegnawszy tedy ks. Zajchowskiego, który za parę dni miał także opuścić Łącko, aby pojechać do swego kolegi ks. Hańskiego, proboszcza w Harkłowej, tudzież pożegnawszy gospodarza domu i ks. wikarych, wybrałem się z siostrzeńcem, na najętym wózku, do Nowego Sącza. Tutaj dowiedziałem się na dworcu kolejowym, że jutro rano, o godzinie siódmej, odchodzi pociąg przynajmniej do Zagórza. Przespawszy się w pobliskim hotelu, gdzie do północy trzeba było słuchać karczemnych śpiewów pijanych żołnierzy, wsiadłem o wspomnianej godzinie do pociągu. Jechaliśmy wśród ścisku powoli i długo, zatrzymując się po kilka godzin na większych stacjach. To dawało mi sposobność spotykania wielu znajomych księży z najrozmaitszych stron, którzy dzielili się ze mną swojemi wiadomościami, dotyczącemi rosyjskiej inwazji. Okolice, przez które jechałem, nie nosiły na sobie wyraźnych śladów wojny, najwięcej stosunkowo ucierpiały mosty kolejowe, wówczas już częściowo przynajmniej naprawione. Nareszcie około 7 g. wieczorem pociąg nasz stanął na stacji we Wróbliku, skąd na wynajętym z trudnością

wozie, którym przed chwilą zwożono z pola ziemniaki, dostaliśmy się najpierw do Rymanowa, a potem, zostawiwszy tam jadące razem z nami towarzystwo, do Klimkówki. Było to 22 października.

Rodzina cieszyła się mną, a ja rodziną. Opowiadano mi, jak przed samem wkroczeniem Rosjan chowano cenniejsze rzeczy do piwnicy, jak przygotowywano nakryty płótnem wóz, by na nim w razie potrzeby dokąd bądź, nie wiadomo dokąd, jechać, jak zachęcali do tego przejeżdżający obok wsi, a czasem wstępujący do niej na nocleg, uciekinierzy rozpuszczając najstraszniejsze wieści o okrucieństwie kozaków, którzy mieli w Galicji wschodniej nie tylko palić i rabować, lecz także mordować bezbronnych, łupić oczy, wbijać żywcem na dzidy, gwałcić kobiety.

Byłem rad, że wróciłem. W domu poustawiałem znowu w swoim miejscu meble, powyciągałem ukryte kufry i paki z ubraniami i książkami, oraz zacząłem się brać do czytania i pisania.

Niestety, radość była niedługa. Po tygodniu uderzył nas fakt, że mnóstwo wozów jedzie gościńcem na zachód. Dnia 1 listopada w niedzielę, wstąpiła po sumie do zakrystji p. Aniela Ostaszewska, żona właściciela klimkowskiego obszaru dworskiego, aby powiedzieć ks. proboszczowi i mnie, że według jej przekonania powtarza się historia z końca września, że (innemi słowy) wojska austriackie rozpoczęły znowu, odwrót. Za tydzień, dodała na odchodnem, zobaczymy, zdaje się, u siebie kozaków.

We wtorek przybyło od wschodu do wsi, wiele wojska naszego, przeważnie Niemców, na kwaterę. U mnie zamieszkiwał oficer, a po jego wyjeździe lekarz wojskowy. W ogrodach stały szeregami wozy, naładowane różnemi

przedmiotami. Głoszono, że wojsko zabawi u nas długo, że tu będzie miało zimowe leże, z czego oczywiście nie byliśmy zadowoleni. To przekonanie o stałej kwaterze zimowej było nawet wśród starszych wojskowych tak pewne, że żonaci oficerowie rezerwowi zamierzali tutaj posprowadzać swoje żony. Toż gdy ks. Balicki kartką, wysłaną z Gorlic, okazał chęć powrotu do Klimkówki, odpisałem mu, nie chcąc go narażać na możliwe niewygody, żeby się wstrzymał. Tymczasem już w najbliższą sobotę, rano, kwatrujące wojsko otrzymało rozkaz cofnięcia się na zachód.

Tego samego dnia odezwały się od wschodu strzały armatnie, które było słyhać także przez niedzielę i poniedziałek. We wtorek, bardzo silny huk dział od strony północnej kazał nam wnosić, że gdzieś niedaleko za Targowiskami odbywa się większa potyczka. Tegoż wtorku przysłany do wsi oddział saperów niemieckich wykopał na wzgórzu, położonem we wschodnio-południowym kierunku od kościoła, szańczyk, który ciągnąc się równolegle do wsi, do niej także był zwrócony frontem.

Ponieważ niebezpieczeństwo przysuwało się ku nam coraz wyraźniej, zabraliśmy się we środe, wśród ustawicznego huk armat i dolatujących od Rymanowa strzałów karabinowych, do krycia cenniejszych rzeczy. Pamiętaliśmy także o zabezpieczeniu najpotrzebniejszej ilości zboża na życie i wiosenny zasiew. Bardzo wiele rzeczy znieśli sąsiedzi do mnie i nadto całą jedną piwnicę mego domu wypełniono worami zboża. Inną przygotowałem w ten sposób, aby, na wypadek walki w samej Klimkówce, znaleźć w niej bezpieczne schronienie. Gdy po południu strzały karabinowe stały się częstsze, wyszliśmy z ks. proboszczem na najbliższe wzgórze wschodnie i przekonaliśmy się, mimo przesłaniającej widnokrąg

srzeżogi, że strzały pochodzą od patroli, ścierających się pod Ładzinem. Prócz tego od czasu do czasu rozlegały się w rozmaitych stronach strzały armatnie.

Tegoż dnia doniesiono mi, że pewna ilość dorosłych dziewcząt, naśladowując swe rówieśnice z wsi sąsiednich, zebrała się przed domem miejscowego pisarza gminnego, aby otrzymać od niego legitymacje i uciekać przed Moskalami na Węgry. Poszedłem tam i przedstawiłem dziewczętom, że wynosząc się ze wsi, narażają się na jeszcze większe niebezpieczeństwo, że wieści o wszelkich gwałtach moskiewskich są w wysokim stopniu przesadzone, a często nawet zmyśłone, że zresztą cokolwiek nas czeka, powinny pozostać w domu pod opieką rodziców. Tego samego zdania był oczywiście także ks. proboszcz, który przypadkowo obok przechodził. To też dziewczęta rozeszły się uspokojone do domów.

W nocy z środy na czwartek szalała silna burza, która mi nie pozwoliła zasnąć. Nie mogłem opędzić się myśli, że gdy jutro rozpocznie się u nas, co było w najwyższym stopniu prawdopodobne, walka, natenczas w razie równie prawdopodobnego pożaru, cała wieś spłonie; jeżeliby zaś także mój dom padł ofiarą ognia, nie byłbym bezpieczny w piwnicy, bo z powodu braku żelaznych drzwi u jej głównego wejścia, ogień mógłby się łatwo i do niej dostać. Czy wówczas, pytałem sam siebie, potrafiłbym ogień ugasić, albo czy miałbym czas zapomocą przygotowanych w piwnicy narzędzi zrobić sobie odpowiedni otwór, aby się przezeń dostać na zewnątrz? Obawy moje były tem większe, że w sąsiednim lesie znajdowały się dwa olbrzymie zbiorniki, napełnione ropą. Gdyby który z tych zbiorników eksplodował, a to wśród strzałów łatwo by nastąpić mogło,

natenczas zająłby się od niego niewątpliwie las, zaś od lasu wieś, a nadto zapalona ropa płynęłaby wzdłuż wsi korytem rzeki, wobec czego, przy wielkiem wietrze, musiałoby przyjść w mgnieniu oka do strasznej katastrofy.

Nad ranem zaczął się wiatr stopniowo zmniejszać. W kościele zebrało się wiele ludzi do spowiedzi. Od dziesiątej do dwunastej słyszeliśmy strzały już gdzieś koło Rogów, co uważaliśmy za znak, iż Rosjanie posuwają się coraz dalej. Z tem wszystkiem byliśmy dość spokojni o najbliższą przyszłość, żywiąc nadzieję, że wioska nasza nie stanie się terenem walki. Będziemy wprowadzić za chwilę, myśleliśmy sobie, witać Moskali, ale nie będziemy się lękać kul i pożaru. Spokój ten spotęgował się jeszcze więcej z chwilą, w której strzelanina ustała całkowicie.

Było już dobrze z południa, gdy, chcąc sprawdzić względne bezpieczeństwo naszego położenia, wybraliśmy się z ks. proboszczem na przechadzkę. Stanęliśmy za wsią na polu, w miejscu, z którego było dobrze widać gościniec między Klimkówką a Rymanowem. Otóż na gościńcu prawie nie było ruchu: spostrzegliśmy na nim zaledwie kilka wozów i kilku jeźdźców. Dziękując Bogu za dzień, szczęśliwie przeżyty, wróciliśmy wieczorem do mojego domu, by spędzić parę chwil na pogadance. Wśród tej pogadanki dano mi znać z kuchni, że dwóch dorosłych chłopaków ze wsi przybiegło z wieścią, jakoby kozacy dwór „bombardowali“. Wybiegam do chłopaków i pytam o szczegóły. Opowiadają, że kozacy rabują we dworze, rozbijając wszystko, co im wpadnie pod rękę, że zranili śmiertelnie jakiegoś „starego pana“, który do państwa Ostaszewskich przyjechał i u nich mieszka, że sami państwo wraz z dziećmi, innymi gośćmi i służbą,

ratując życie, uciekli. Nie chcę temu wszystkiemu dać wiary i dlatego proszę chłopaków, aby, mimo ciemnej nocy, udali się ostrożnie do dworu i z bliska przypatrzyli się temu, co się tam stało, a potem nam o wszystkim donieśli. Za jakie pół godziny młodzieńcy wrócili. Okazało się, że kozaków wpadło do dworu tylko dwóch, że jeden z nich leży pijany na gazonie przed gankiem, a drugi odjechał do Rymanowa, że istotnie ów pijany powybił na ganku szyby i skaleczył szablą w głowę jakiegoś uchodźcę, że państwo Ostaszewscy schronili się z dziećmi do domu gospodarza tutejszego, Ludwika Zycha. Słyszając to ks. proboszcz, powiedział mi, że pójdzie poprosić kolatorstwo z dziećmi do siebie. Odradzałem, zwracając uwagę na to, że kolatorstwo, przeżycie tym zbójcekim napadem, nie zechcą teraz przenosić się na plebanję. Lecz ks. proboszcz, wzięwszy z sobą służącego, poszedł. Zostawszy w domu, wzięłem książkę do czytania, choć nie mogłem dobrze skupić myśli. Po upływie przeszło godziny usłyszałem chrząst kroków od tyłu domu, a za chwilę nieśmiałe pukanie w okno. Podniósłszy story, zobaczyłem przed sobą ze zdziwieniem kilkoro ludzi z latarnią, którzy mnie prosili, bym otworzył drzwi idącemu ks. proboszczowi. Śpiesząc do drzwi, myślałem, że proboszcz ze względu na to, iż w moim domu pomieszkowanie na poddaszu było wolne, przyprowadził do mnie państwo Ostaszewskich, lecz jakże się zdumiałem, gdy, otworzywszy drzwi, nie zobaczyłem przed sobą ani proboszcza, ani jego kolatorstwa, lecz gromadę ludzi ze wsi, którzy, znowu z zapaloną latarnią w ręku, prowadzili jakąś panią w męskim kapeluszu, a czarnej sukni, o twarzy nabrzmiałej, pokrwawionej i obwiniętej. Nie rozumiałem, co to wszystko znaczy. Dopiero, gdy owa pani przemówiła do mnie,

poznałem, że osoba, uważana przeze mnie za panią, jest w rzeczywistości księdzem proboszczem, którego twarz zmieniła się do niepoznania. Co się w tak krótkim czasie stało? pytałem wówczas z przerażeniem. Proboszcz odpowiedział, że poszedł ode mnie do Zycha, a nie zastawszy tam Ostaszewskich, którzy po umieszczeniu u Zycha dzieci, wrócili do siebie, udał się do dworu, że przed gankiem leżał na gazonie pijany kozak, który go zapytał, kto idzie, a otrzymawszy od niego grzeczną odpowiedź, zerwał się i chwycił za karabin. Co się potem stało, tego proboszcz nie pamiętał. Wiedział tylko tyle, że odzyskawszy świadomość, podniósł się o swoich siłach z ziemi, zauważył na sobie krew i, wracając do domu, dowlókł się do młyna, gdzie go obmyto i obwiązano mu tymczasowo rany. Później dowiedzieliśmy się od świadka, który z bliska patrzył na wszystko, a jednak nie śmiał się ruszyć z miejsca, że kozak bił proboszcza nahajką, a w końcu uderzył go kolbą w głowę.

Proboszcz, mimo wielkiego osłabienia, pouczał, jak go trzeba ratować. Kiedy moja siostra i siostrzenica zdjęły mu tymczasowe opaski i obmyły go, okazało się, że na prawej stronie głowy są wielkie rany, że prawa ręka silnie pokaleczona, a szczeka dolna rozbita. Stan ten wydawał nam się tem straszniejszym, że przed kilku laty włóczęga, który się nazywał Multan, a którego skazano potem na 18 lat ciężkiego więzienia, napadł w nocy na śpiącego proboszcza i tak ciężkie zadał mu rany, iż z początku nie było nadziei utrzymania go przy życiu. Wówczas, myślałem sobie, można było chorego umieścić w szpitalu, gdzie miał znakomitą opiekę; obecnie żadnego lekarza nie można sprowadzić. Choćby więc proboszcz przeżył pobicie, zostanie na całe życie

kaleką, bo pęknięta drugi raz szczeka (rozłupał ją w tem samem miejscu Multan) bez troskliwej opieki lekarskiej dobrze się nie zrośnie.

Po nałożeniu nowych bandaży, ks. probosz położył się zaraz do swojego łóżka. Przez noc czuwał przy nim jego sługa. Ja poszedłem spać na poddasze. Spałem bardzo lichy, co ciągle nasuwało mi się na oczy to, co zaszło. Gdy rano o godzinie szóstej zeszedłem na dół, by przywitać się z ks. proboszczem, zastałem już u niego sąsiadów, którzy przyszli się pytać o jego zdrowie. Proboszcz opowiadał im o całym zajściu, a gdy wyszli, zaczął się ubierać i oświadczył mi, że udaje się do siebie. Nie chciałem się na to zgodzić, ale musiałem. Zanim jednak proboszcza odprowadzono na plebanję, przyszedł do mego domu jakiś jegomość z zawiązaną głową. Był to p. Bronisław Topolnicki, ów „stary pan“, o którym wczoraj mówili chłopcy, a którego pijany kozak ciał szablą w czoło. Spędziwszy po otrzymanem cięciu noc u jednego z służących dworskich, przybył rano do mnie z prośbą, bym go przyjął na jakiś czas do swego domu, który mu się wydawał bezpieczniejszym od dworu. Jakoż zabawił u mnie przez sześć blisko tygodni. Z początku tak był biedak wystraszony, że się krył lub kazał kryć na widok pierwszego lepszego żołnierza rosyjskiego.

Zresztą przykre uczucie niepewności i lęku opanowało, w pierwszych dniach po strasznym wypadku we dworze, wszystkich. Patrole rosyjskie nie tylko przychodziły pod wieczór na nocleg do domów, położonych blisko gościńca, lecz także, wpadając nagle do wsi, dopuszczały się rabunków. Czynili to przedewszystkiem kozacy. Tak np. na plebanji zabrano gwałtem jedyne konia, gdzie indziej krowę lub świnie, i przedewszyst-

kiem kradziono kury, chleb i masło. W kilku domach wyłupiono wszystek miód z uli, skutkiem czego pszczoły wyginęły. Nadto w biały dzień rozbito i zrabowano sklepik Kółka rolniczego i drugi sklepik, prywatny. Kilku dorosłych mężczyzn musiało na rozkaz kozaków ściągnąć z nóg dobre buty, aby je zamienić na stare i podarte. Na folwarku dworskim patrol kozacki położył trupem trzema kulami piętnastoletniego chłopca, który przerażony, jego najściem nocnem, uciekał ze stajni. Nie dziw, że wobec tego ludzie siedzieli spokojnie w domach, że komunikacja z światem przez kilka dni całkowicie ustała, że w całej wsi niewielu znalazło się ochotników, którzy byli gotowi iść do Rymanowa, by z tamtejszej apteki przynieść lekarstwo dla ks. proboszcza. Groza wydawała się tem większa, że i tam działo się podobnie, jak u nas, oraz że już to od południa, już to od zachodu dawały się słyszeć strzały armatnie i karabinowe. Stawały się one coraz słabsze, co było dla nas znakiem, że wojska austriackie cofają się coraz dalej.

Po upływie tygodnia dowiedziałem się, że w dworze rymanowskim, opuszczonym przez właściciela, osiadła rosyjska komenda etapowa. Postanowiłem się zwrócić do niej z prośbą o opiekę. Wybrałem się tedy do Rymanowa w towarzystwie p. Mięty, który, uciekając wraz z żoną z Chyrowa do Lipinek pod Gorlicami, musiał się zatrzymać u pp. Ostaszewskich. Pan Mięta miał, w zastępstwie chorego p. Ostaszewskiego, przedstawić komendzie sprawy tutejszego dworu, ja gminy. W drodze spotkaliśmy wiele piechoty rosyjskiej, zmierzającej ku zachodowi. Wygląd Rymanowa był już wówczas opłakany. Mnóstwo szyb wybitych, wiele sklepów porozbijanych, jedna kamienica, położona we wschod-

niej części rynku, spalona. Przed składnicą Kółka rolniczego widać było tłum ludzi cywilnych i żołnierzy. Tu i ówdzie kręcili się po mieście kozacy w towarzystwie wesołych Rusinek, obładowanych towarami, zrabowanymi po żydowskich sklepach bławatnych.

Wstąpiliśmy na plebanję. Tu opowiedzieliśmy ks. proszczowi, cośmy przeżyli w dniach ostatnich, i odwrotnie dowiedzieliśmy się, co się działo w tym czasie w parafii rymanowskiej. Ksiądz proboszcz opisał nam między innymi rzeczami napad na dwór p. Morawskiego w sąsiedniej Odrzechowej. Otóż w połowie listopada jakiś Rusin z Sieniawy przyprowadził do tegoż dworu stu pięćdziesięciu żołdatów, którzy najpierw rzucili się na piwnicę. Upiwszy się winem, chcieli się zobaczyć z p. Morawskim, a gdy ten wyszedł do nich, zabrali mu pieniądze, które miał przy sobie, a potem wyrzucili go z domu razem z ośmdziesięcioletnią ciotką i synem. Wyrzuceni schronili się wówczas do chaty jakiegoś Polaka, gdzie przez dwa dni następne groziła im śmierć, rozbewstwione żołdactwo zrabowało dwór doszczętnie.

Pożegnawszy się z plebanem, udaliśmy się do dworu rymanowskiego. Zauważyliśmy wówczas, że wschodnia część miasta znajdowała się w stanie jeszcze gorszym, aniżeli rynek. W wielu domach brakowało nie tylko szyb, lecz także okien i drzwi, a przez powstałe w ten sposób otwory przezierało straszne widmo zniszczenia. W jednym miejscu płacząca mieszczanka pokazywała nam puste i odarte pomieszkание, w którym przed kilku dniami, skutkiem starcia się patroli, zginął jeden żołnierz austriacki i jeden rosyjski.

Przed dworem, otoczonym z frontu licznymi samochodami, kręciło się mnóstwo żołdatów. Gdyśmy się opowiedzieli przy głównym wejściu, wpuszczono nas do wne-

trza, poczem przedstawiliśmy komendantowi, z którym rozmawialiśmy po niemiecku i francusku, cel naszego przybycia. Pan Mięta rozpoczął od opowiadania o pijanym kozaku, który przed tygodniem wpadł do dworu, a zarazem przedstawił szkody, które ze strony wojska ponieśli państwo Ostaszewscy; ja opisałem rozboje, czynione przez kozaków we wsi. Panie komendancie, mówiłem między innymi, co innego walcząca armja, a co innego ludność. My wojny nie prowadzimy, a jednak z pogwałceniem wszelkich praw międzynarodowych nie jesteśmy pewni ni mienia, ni życia. Dlatego prosimy o opiekę, a w szczególności o wydanie rozkazu, że nie wolno nas rabować. Komendant, wysłuchawszy wszystkiego, przyrzekł wyszukać i surowo ukarać awanturniczego kozaka, a zarazem dbać o bezpieczeństwo wsi i dworu. Co więcej, wystawił nam trzy „bumagi“, jedną dla państwa Ostaszewskich, drugą dla ks. proboszcza w Klimkówce, trzecią dla mnie i mojej siostry, które zakazywały żołnierzom nawet wstępować do naszych domów. Nadto pozwolił na moją prośbę pojechać do Klimkówki bawiącemu w Rymanowie lekarzowi drowi Regiecowi, który miał zbadać stan zdrowia ks. Wolskiego.

Przed nami i razem z nami posuwała się ku zachodowi olbrzymia ława piechoty. Spotkaliśmy jej dużo w Klimkówce, tak we dworze, jak we wsi. Gdy wróciłem do siebie, dowiedziałem się, że podczas mego pobytu w Rymanowie, kozak wyprowadził ze stajni mojej siostry jałówkę i rzucił za nią trzy ruble, że jednak na szczęście nadszedł na to oficer Polak, który kozaka zgromił i kazał mu jałówkę odprowadzić do stajni. W moim domu zastałem pięciu oficerów 75 pułku, między którymi było dwóch Polaków. Kiedy dałem im do odczytania otrzymaną przed chwilą „bumagę“, chcieli w tej chwili opuścić

mieszkanie; zostali w niem tylko na moją prośbę. Razem z nimi zamieszkali u mnie ich służący. Wszyscy byli pełni nadziei przyszłego zwycięstwa, a przy tem bardzo uprzejmi. Kiedy oficerom oddałem salon, prosili mnie o pokój na poddaszu, aby, jak mówili, nie poplamić parkietów w salonie. Był to w ogóle najzyczliwszy pułk z wszystkich pułków rosyjskich, które się w ciągu wojny przewinięły przez Klimkówkę. Miał on zabawić u nas kilka dni, aby wypocząć; tymczasem odszedł o czwartej nad ranem w stronę Iwonicza. Też nocy przeraziła nas krwawa łuna zawieszona gdzieś nad Zakładem rymanowskim. Później dowiedzieliśmy się, że z winy żołdatów spłonął jeden z największych i najstarszych domów zakładowych, zwany willą pod Kościuszką, tudzież sąsiadująca z nim karczma.

Następnego dnia przyjechało do wsi kilka wozów wojskowych za paszą. Gdy w pewnym domu żołnierze kazali sobie otworzyć stodołę i zaczęli z niej zabierać siano, zapłakana gospodyni tegoż domu przybiegła do mnie z prośbą o ratunek. Po wsi bowiem rozeszła się wieść, że komenda etapowa w Rymanowie dała mi zapewnienie, iż wojsko przymusowo niczego we wsi nabywać nie będzie. Poszedłem na miejsce wypadku, atoli interwencja moja nic nie pomogła, gdyż okazało się, że żołnierze nie zabierają siana darmo, lecz dają za furę pięć rubli. Biedna kobieta nie była oczywiście z tej ceny zadowolona; musiała się jednak na nią zgodzić, bo żołnierze powiedzieli, że kapitan, który ich wysłał, kazał im tyle płacić. Podobne wypadki zdarzały się w tym czasie często. Interwencji mojej przestano używać dopiero wtedy, gdy zrozumiano, że co innego rabunek, a co innego kupno po niskiej cenie.

Korzystając ze sposobności, przestrzegałem lud, aby wyzywającym zachowaniem się nie drażnił nieprzyjacielskich żołnierzy. Sam bowiem byłem świadkiem, jak pewien wieśniak, widząc żołnierzy, wiozących nabyte we wsi siano, obwoływał ich na całe gardło złodziejami i rabusiami, a nawet groził im śmiercią. Takie zachowanie się mogło spowodować najsmutniejsze następstwa. Toż i wówczas i później zdarzały się wypadki, że podrażnieni żołnierze rzucali się na chłopów i zadawali im rany.

Wśród tego gościńcem maszerowały ciągle wojska rosyjskie ku zachodowi. Niektóre oddziały zatrzymywały się na wsi w domach, położonych niedaleko od gościńca, a przede wszystkim we dworze. Poszczególni żołdaci wpadali do wsi w celu zakupu siana, zboża lub bydła. Dnia 22 listopada, w niedzielę, przyszło po raz pierwszy na nabożeństwo przedpołudniowe sześciu żołnierzy rosyjskich. Po sumie zjechał do wsi liczny tren wojskowy, w którym było wielu Polaków. Na ogrodach rozpalili biwakujący żołnierze liczne ogniska. Późnym wieczorem przyprowadził do mnie jakiś żołnierz cztery osoby na nocleg. Była to żona księdza ruskiego z dwiema córkami i synem z pod Dukli. Rodzina ta, otoczona, jak wiele innych podobnych rodzin, opieką rosyjską, uciekła z placu boju i udawała się do krewnych, mieszkających niedaleko Sambora. Rano dnia następnego wyjechała z Klimkówki na wschód rosyjską podwodą. Po kilku dniach część trenu opuściła Klimkówkę, zapowiadając nam przybycie konnicy.

Chociaż nie mieliśmy żadnych pewnych wiadomości, przeczuwaliśmy, iż nadchodzi jakaś ważniejsza chwila. Od południa, czasem od zachodu, a nawet od wschodu i północy, odzywały się strzały; aeroplany przelatywały co chwila w rozmaitych kierunkach. Nadszedł wreszcie

27 listopada. Już wczesnym rankiem rozpoczęła się w stro- nie Jasłisk i Dukli rozmowa armat, która trwała przez cały dzień, a po południu była głośniejsza, niż przed- niem. Wiedzieliśmy, że gdzieś w bliskim sąsiedztwie roz- grywa się straszna walka, ale jej wynik był przed nami zakryty. Słyszając zaś strzały niedalekie, lękaliśmy się, żeby linja bojowa nie przesunęła się na Klimkówkę. Dlatego znowu kazałem przenosić cenniejsze rzeczy do piwnicy, którą niedawno opatrzyłem tymczasowymi drzwiami, obitemi żelazną blachą.

Jakkolwiek obawy nasze były na szczęście płonne, ciężko nam było patrzeć na to, co się działo we wsi. Moskale, założywszy w najbliższym sąsiedztwie dworu wielką piekarnię dla wojska, cięli dla niej bez miłosierdzia drzewo w lesie lub zwozili z lasu gotowe sęki. Inni cho- dzili tłumnie od domu do domu, kupując za bezcen bydło, nierogaciznę i paszę. W gruncie rzeczy nie było to kupno, ale rabunek. Jeszcze inni dopuszczali się najbezcelniej- szych kradzieży pokryjomo. Tak np. ks. proboszczowi skradziono jednej nocy indyków i kur na 100 koron, mimo że u niego mieszkał oficer.

Wobec ciągłego pochodu wojska ku zachodowi, są- dziliśmy, że piątkowa bitwa skończyła się zwycięstwem nieprzyjaciół. Z drugiej jednak strony sami żołnierze ro- syjscy, którzy jako rozbitki przybywali z pola walki, przy- znawali, iż wojska ich dały tym razem za wygraną, a na- wet poniosły wielkie straty. Według opowiadania roz- bitków przyczyną tego miał być fakt, iż wielu żołnierzy rosyjskich piło w Dukli wino na umór i po pijanemu szło do ognia. W ten sposób zginął wśród wielu innych pewien pułkownik, którego ciało przywieziono na noc do Klimkówki, aby je odesłać koleją do ojczyzny. Zabrała

je z sobą nieszczęśliwa żona, która, przybywszy z Rosji do męża, zastała go już martwego.

Grudzień rozpoczął się łuną nad Iwoniczem, gdzie spłonęły gumna dworskie i kilka domów wieśniaków. Drugiego grudnia przybyło do wsi mnóstwo wozów trenowych, które jednak w przeważnej części wyjechały dnia następnego. Za to po południu tegoż dnia zalał niespodzianie całą niemal wieś 49 pułk artylerji sybirskiej. Jakiś brutalny kwatermistrz zmusił mnie gwałtem do oddania oficerom całego pomieszkania z kuchnią; zostawiono mi tylko sypialnię, do której schronił się także p. Topolnicki. Stańło tedy u mnie kwaterą siedmiu oficerów, między którymi był jeden pułkownik i jeden podpułkownik. W pokojach porozkładano kufry i wąskie łóżka. Kuchnia była tak przepełniona „dieńszczykami“, że dla nas gotowano u siostry. Przed domem stało w ogrodzie sześć wozów: dwa z rzeczami oficerów, a cztery z amunicją.

Wspomniany pułk, pobity podobno pod Homonną, szedł na zachód. Prości żołnierze powtarzali co chwila, że celem ich wyprawy jest Kraków. Dotychczas tego hasła nikt jeszcze u nas głośno nie podnosił; odtąd powtarzały je chętnie przez kilka tygodni wszystkie siły nieprzyjacielskie, zmierzające w kierunku zachodnim. Ile mil do Krakowa? pytali stereotypowo chłopów żołdaci, puszający się dotychczasowym sukcesem, bo my idziemy do Krakowa. Do odpowiedzi na to pytanie dodawali zwyczajnie chłopci uwagę: jak nie zdobycie Przemysła, tak też nie zdobędziecie Krakowa.

Zaraz wieczór rozpoczął pułk 49 grabież siana z niesłychaną zuchwałością. Stąd po całej wsi rozlegały się jęki, narzekania, złorzeczenia. Sąsiedzi przybiegali ze skargami na żołnierzy do mieszkających u mnie oficerów,

którzy jednak byli zgoła nieczuli na wszystkie błagania. Tak samo, czyniona przeze mnie interwencja nie przyniosła się na nic. Zdarzyło się nawet, iż jeden z młodych oficerów przyjął z szyderczym uśmiechem moje przedstawienia za co musiałem go zawstydzić. W jednym tylko wypadku wysłuchano mojej prośby. Gdy jeden z sąsiadów przybiegł z zażaleniem, że żołnierze ustawili buchającą ogniem kuchnię tuż koło słomianego dachu i nie chcą jej przesunąć, choć każdej chwili może powstać pożar, oficer kazał na moje wstawiennictwo przenieść kuchnię w inne miejsce. Tegoż wieczora zrabowano do reszty sklepik Kółka rolniczego i umieszczoną przy nim rzeźnię, tudzież sklepik prywatny. To też w diariuszu swoim zapisałem, że trzeci dzień grudnia, to *dies calamitatis et miseriae*.

Wystarczyło kilka godzin, aby poznać, jacy goście do nas zawitali. Dlatego gdy nazajutrz śpieszących do kościoła ludzi pytałem, jak się mają, odpowiadali zgodnie, że tak złych Moskali jeszcze dotąd we wsi nie było. Przekonanie to utrwaliły dni następne. Rozwydrzeni i rozhułani żołnierze, prawdziwi kacapi z głębokiej Rosji, obchodzili się z ludnością brutalnie, iście po hajdamacku. Jeżeli wszyscy przed nimi i po nich kradli, to ci byli arcyzłodziejami. Grabież siana, zwłaszcza na górnym końcu wsi, gdzie nie było wojska, powtarzała się co chwila. Na ogrodach i w domach palono wszystko, co wpadło pod rękę. W kilku miejscach od rozniceonych na ogrodach ognisk zajęły się przy silnym wietrze budynki, lecz ogień ugasił czuwający we dnie i w nocy wieśniacy. Wielu żołdatów wyrażało się z największą pogardą o cesarzu austriackim i niemieckim, używając przytem najbardziej nieprzyzwoitych wyrazów. Niektórzy bluźnili Chrystusowi a nawet popisywali się ateizmem.

Budny pop schizmatycki, który zamieszkał w domu cywilnym, a za którym dzieci biegały jak za rarogiem, chciał koniecznie w kościele odprawiać nabożeństwo, czemu jednak stanowczo oparł się ks. proboszcz. Należy też dodać, że przez cały czas wojny nie było we wsi żołnierzy tak żarłocznych, niechlujnych i cuchnących, jak owi kacapi. Ubranie wszystkich, nawet oficerów, było do tego stopnia zanieczyszczone owadami, iż nie wstydziło się urządzać na nie publicznych łowów. Niektórzy tyle jedli, że z obżarstwa dostawali wymiotów, aby znowu jeść. Bydlę się nasyci, a to się nie nasyci, powtarzali o nich pogardliwie nasi wieśniacy.

U mnie w domu harmider wielki. Młodszy oficerowie, gwałcąc najprostsze przepisy dobrego wychowania, krzykali, śpiewali, wyli, gwizdali tuż za drzwiami mego pokoju. Byłem, jak wszyscy inni mieszkańcy wioski, niewolnikiem we własnym domu. Jedyłą moją pociechą była modlitwa. Toż modliłem się często i gorąco do Boga, aby się zmiłował nad nami, udzielił nam cierpliwości, przyjął nasze cierpienia jako pokutę i kiedyś wynagrodził nas sowicie. Odczuwałem też wówczas w całej pełni siłę dowodu moralnego na istnienie duszy nieśmiertelnej. Bóg, wołałem do siebie, zapewne, nam zapłaci za te straszne cierpienia w życiu przyszłym!

Nie wiem, co by się z nami stało, gdyby ten pułk siedział nam na karku długo. Na nasze szczęście wyniósł się od nas już 6 grudnia, w niedzielę, wczesnym rankiem; została tylko część wozów z amunicją. Odetchnąłem na chwilę, ale tylko na chwilę, bo gruchnęło po wsi, że Moskale żądają podwód i szukają ukrytych koni. Już miałem iść do kościoła, by powiedzieć kazanie, gdy przybiegł do mnie szwagier z wiadomością, iż jakiś kozak, węsząc u niego ukrytego konia, grozi wyrąbaniem

drzwi w stajni. Musiałem biec na pomoc. Wnet udo-bruchałem papierosami kozaka, który mi przyrzekł, że ani szwagrowi, ani sąsiadowi „Łosza“ nie zabierze, atoli z powodu zdenerwowania kazać w kościele nie mogłem. Tak więc ks. proboszcz, który dzięki swym siłom żywotnym, wyleczył się z ran prawie zupełnie, odprawił sumę bez kazania. Zaledwie skończyło się nabożeństwo, gdy nowi żołnierze, ale już nie straszni kacapi, zajechali z wozami trenowemi. Przeważna ich część opuściła wieś rano dnia następnego, aby znowu uczynić miejsce innym.

Siódmego grudnia przyniesiono mi z Rymanowa list ks. Balickiego, posłany do mnie przez ks. Romańskiego, Franciszkanina, który tam przyjechał z Gorlic wozem, aby najbliższym pociągiem udać się do Lwowa. W liście donosił mi ks. Balicki krótko, że bawi dalej z ks. Zajchowskim w Gorlicach, „gdzie największe strachy niby przemieły“ i że mógłby wrócić do Klimkówki, jeżeliby się dla niego znalazło miejsce w moim domu; na końcu wyraził życzenie, bym po otrzymaniu jego pisma udał się do Rymanowa i zobaczył się z ks. Romańskim, który mi wiele rzeczy o Gorlicach opowie. Niestety, tego ostatniego życzenia nie mogłem spełnić, bo niepodobna było wydaląć się z domu bez narażenia się na rozmaite przykrości i niebezpieczeństwa. Nadto osoba, która przyniosła list, wręczony jej przez ks. proboszcza ryma-nowskiego, nie umiała mi powiedzieć, czy ks. Romański bawi jeszcze w Rymanowie.

Z otrzymanego listu mogłem wnosić, że wojska ro-syjskie zajęły już Gorlice, czegośmy wcale dotąd nie przypuszczali. Wprawdzie, uwzględniając coraz bardziej oddalające się od nas strzały, domyślaliśmy się, że Austriacy ustępują, jednak nie sądziliśmy, żeby byli zmuszeni cofać się tak daleko. Dnia następnego, tj.

w uroczystość Niepokalanego Poczęcia N. M. Panny opowiadała nam po nabożeństwie p. Miętowa, że i ona otrzymała wiadomość o zajęciu Gorlic przez Rosjan. Tegoż dnia przeniosła się piekarnia wojskowa z Klimkówki do Żmigrodu, w czym widzieliśmy nowy znak zwycięskiego pochodu Rosjan, tem bardziej, iż przez cały dzień szły ich wojska od Rymanowa ku Iwoniczowi.

W tem już 9 grudnia jakiś chodzący za mlekiem chłopiec z Rymanowa przyniósł wieść, iż austriackie patrole krążą koło miasta. W rzeczy samej, prócz dalekich strzałów armatnich na wschodzie i zachodzie, dały się słyszeć we Wróbliku strzały karabinowe. Nazajutrz opowiadano, że około Jaślik znajduje się wiele austriackiego wojska. Tam też, a jeszcze więcej w stronie Żmigrodu, odezwały się armaty 11 grudnia. Dnia 12 grudnia wśród cudnej pogody grzmiały działa od rana do wieczora w niedalekiem sąsiedztwie. Mieliliśmy wrażenie, że Austriacy napierają od Dukli, a Rosjanie stawiają im opór w Równem i Rogach. Dwa uczucia miały wówczas nami: nadzieja i obawa. Lubo wynik walki był przed nami zakryty, cieszyliśmy się nadzieją, iż wnet ujrzymy przed sobą wojska austriackie. Z drugiej wszakże strony, pamiętając o barbarzyńskim zachowaniu się w Galicji Węgrów, lękaliśmy się ich więcej, aniżeli kozaków. Nadto obawialiśmy się znowu, żeby w samej Klimkówce nie przyszło do walki.

A jednak walka ta zdawała nam się grozić. Przez całą noc z dwunastego na trzynasty grudnia rozlegały się od Wulki strzały karabinowe, pomieszczone z jakimś złowrogim hałasem, wskutek czego na górnym końcu wsi nikt nie zmrużył oka. Około szóstej z rana rozpoczął się, ogień armatni od strony Jaślik i Dukli. Była to niedziela. Lud zebrał się, jak zwyczajnie, w kościele. Wśród

nieustającego grzmotu dział powiedziałem kazanie; grzmot ten spotęgował się jeszcze bardziej podczas sumy. Gdy po sumie wyszedłem z kościoła, usłyszałem tak wyraźne grzechotanie karabinów zwyczajnych i maszynowych, iż byłem przekonany, że bój toczy się gdzieś w pobliskim lesie, a najdalej na Wulce.¹ Widząc przeto, jak ludzie przystawali pod kościołem na rozmowę, radziłem im, aby jak najrychlej śpieszyli do domów i myśleli o chronieniu się w piwnicach lub porobionych w ziemi kryjówkach, zacząłem też u siebie znosić najpotrzebniejsze rzeczy do piwnicy. Wnet potem rozległo się wołanie, że na dolnym końcu wsi gore. W istocie zajął się tam jeden dom, prawdopodobnie od ognia, podłożonego przez Moskali, ale że nie było wówczas wiatru, przeto udało się łatwo pożar zlokalizować. Tymczasem około pół do trzeciej po południu huk dział zaczął słabnąć, a ludzie, którzy mieli odwagę wyjść na najbliższe wzgórza, widzieli, jak szare mrowie rosyjskie cofało się spiesznie wraz z armatami przez Iwonicz i Rymanów w stronę Targowisk. Przez Klimkówkę przeszło wówczas zaledwie pięćdziesięciu rozbitków rosyjskich. Bliskie strzały karabinowe trwały tego dnia do samego wieczora, a nie dające się opisać uczucie niepewności było tak wielkie, że ogół ludzi lękał się wychodzić z domów, i że skutkiem tego owej niedzieli nie-szpory się nie odbyły. Gdy nadeszła noc, zapanowały

¹ Dywizjoner rosyjski, stojący w tym czasie kwaterą na plebanji rymanowskiej, przedstawiał razem ze swoim sztabem tamtejszemu proboszczowi plan, jaki zamierza osiągnąć przez wojnę Rosja. Niemcy, mówiono tam na serjo, będą zmuszone zatopić swoją flotę, a fakrykę Kruppa, wyrabiającą armaty, znieść. Austria się rozleci w ten sposób, że Węgry utworzą osobne państwo, Włochy otrzymają Tyrol, a Serbja, Bośnię i Hercegowinę, Galicja zaś przejdzie do Rosji, która da Polakom autonomję. Cesarz Franciszek Józef zatrzyma do śmierci tytuł imperatora.

nad wsią złowroga cisza i ciemność. W żadnem oknie nie zabłyśło światło, a jeżeli ktoś wychylił nieśmiało głowę z za węgła, to chyba w tym celu, aby się przekonać, czy jaki uciekający żołdat nie spełnia powtarzanej często groźby, nie zakrada się w roli rabusia lub nie podkłada ognia.

Mimo tych obaw, noc minęła spokojnie, a rano zjawiły się we wsi pierwsze patrole austriackie. Jakaż radość widniała wówczas na wszystkich twarzach. Idący na roraty ludzie witali się z uśmiechem na ustach. „Przećcież, mówili do siebie, skończyła się po trzydziestu dwóch dniach nasza niewola. Dzięki Bogu, niema już we wsi ani jednego Moskala, prócz kilku zabranych jeńców. Chyba już więcej do nas nie przyjdą“.

Gdy około dziewiątej przed południem zagrzmiały w stronie Rymanowa działa, wyszedłem z lornetką na „Górkę“, by zabaczyć, co się dzieje. Czas był pochmurny, ale dość ciepły, śniegu, jak w dniach poprzednich, ani śladu. Na polu dworskiem, z którego było dobrze widać miasto, spotkałem już wielu ciekawych widzów. Za chwilę przekonałem się, że Austriacy strzelają z Kalwarji i z pod Zdroju rymanowskiego a Rosjanie gdzieś od Beska. Na zachodnim skłonie Kalwarji czekali w pogotowiu austriaccy żołnierze. Po południu wyszedłem na wzgórze północne, przez które przechodzi gościniec ku Iwoniczowi. Gościniec był pusty, a na wspomnianym skłonie Kalwarji kryło się ciągle wojsko austriackie, wysyłając od czasu do czasu patrole. Kanonada, przerywana w porze południowej, dała się znowu słyszeć; nadto ozwały się basem daleko na północnym zachodzie, ciężkie działa.

W nocy rozpostarła się na niebie dość wyraźna łuna od strony Iwonicza, a odległa muzyka armat bu-

dziła ze snu wrażliwych mieszkańców. Rano rozpoczęła się walka w sąsiedztwie. Mieliśmy wrażenie, że działa austriackie znajdują się za Targowiskami, a rosyjskie na górach korczyńskich i odrzykońskich. Równocześnie wre bój za Haczowem i Rymanowem. Po obiedzie widać w Haczowie dwa pożary, a z tej strony Rymanowa (koło t. zw. Czarnego stawu) dwa działa austriackie, bijące od czasu do czasu do Moskali, ukrytych w Łazach. Kiedy pod wieczór te działa umilkły, wzmożła się strzelanina w okolicy Krosna. Mimo ciemnej nocy, grały tam do późna armaty, którym wtórowały karabiny. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, iż wczorajsza walka nocna toczyła się między Krosnem a Korczyną. W parę miesięcy potem doniósł mi ks. Koleński, proboszcz krośnieński, że dnia 15 grudnia spadło na Krosno przeszło 40 granatów, że pierwszy eksplodował tuż przy wieży farnej i zniszczył mur dziedzińca plebańskiego, że cztery inne pociski, zakreśliwszy łuki nad farą i plebanją, wybuchły za kościołem, nie wyrządziwszy żadnej szkody.

Kiedy dnia następnego strzały się oddaliły w kierunku północnym, wybraliśmy się z ks. proboszczem pieszo do Rymanowa, aby się zobaczyć z tamtejszymi księżmi. Dzień był prześliczny, słoneczny, ciepły, suchy. Na gościńcu spotykaliśmy patrole austriackie i idących luzem w rozmaitym kierunku rozbitków. Od Iwonicza szli i jechali uciekinierzy, przeważnie Żydzi, którzy, wobec cofnięcia się Rosjan, wracali z Węgier. Rynek rymanowski, na którym stało w pogotowiu kilkudziesięciu ułanów, przedstawiał bardzo smutny widok. Prawie wszystkie domy od zachodu, południa i wschodu spalone; tak samo spalone i do cna zniszczone domy, stojące z obu stron ulicy, prowadzącej z rynku do kościoła. Na plebanji zastajemy, prócz ks. gospodarza, ks. infułata

Moszorę. Gospodarz pokazuje nam dwa działą austrjackie, stojące tuż obok plebanji i ciągle gotowe do strzału, a potem opowiada, co się działo w jego parafji wczoraj, przede wszystkim zaś przedwczoraj: nad miastem przelatwały pociski; szrapnele poszarpały dach na pałacu dworskim i powybijały w nim szyby; a na Górnej Posadzie uszkodziły kilka domów.

Gdyśmy pod wieczór wracali do domu, zauważyliśmy niedaleko dworu klimkowskiego, na Kamiennej Górze, około stu żołnierzy, kopiących rowy. Niespodziany ten widok zaniepokoił nas bardzo. Zrozumieliśmy, że położenie nasze nie jest tak bezpieczne, jak nam się jeszcze przed chwilą wydawało, że Austriacy, nie dowierzając swym siłom, przygotowują się na wypadek nowego odwrotu. Przekonanie to potęgowało się coraz bardziej w dniach następnych. Wprawdzie słyszeliśmy grzmoty armatnie w kierunku Jasła, Krosna, Komborni, Haczowa, a czasem Beska, przyczem w wielu miejscach widać było słupy pożarów, atoli praca około szańców nie ustawała. Przybyli do wsi saperzy wykopali je w ogrodzie przed dworem od strony wschodniej, a potem poprowadzili przez pola dworskie, Łysą górę i grunty chłopskie aż do południowej części Posady Górnej. Podobne szańce szły od Kamiennej góry do Targowisk. Wykopane rowy nakryto w wielu miejscach drągami, jedliną i ziemią, a z przodu, tj. od strony północno-wschodniej, zabezpieczono płotem, uczynionym z kołów, siatki drucianej i kolczastego drutu. W niektórych miejscach układano rowy deskami, zabraniami bez wynagrodzenia z tartaku dworskiego i z domostw chłopskich; podobnie bez zapłaty i bez opowiedzenia się, zdzierano po wsi z płotów drut kolczasty, a koło dworu i w lesie ścinano większe i mniejsze drzewa na

zasięki. Od czasu do czasu pocieszali nas wprowadzając żołnierze, że nasza sprawa stoi dobrze, że tu lub tam pobito nieprzyjaciela, albo że właśnie nadeszły naszemu wojsku znaczne posiłki, ale to wszystko nie zdołało nas uspokoić. Widzieliśmy, że nad naszymi głowami zaczynają się znowu kłębić groźne chmury.

Na noc zjechała do nas artylerja w trzysta koni. Rano dnia następnego, jak w innych dniach krytycznych, wiele ludzi przybyło do kościoła i przystąpiło do Sakramentów Św. Około jedenastej zjawił się w środku wsi wielki oddział konnicy, który, rozłożywszy się w najbliższem sąsiedztwie mego domu, zajął kilka ogrodów, położonych na wschód od kościoła. Część ułanów powiozła armaty w pole i ustawiła je w dwóch baterjach. Jedną z nich, złożoną z czterech dział, umieszczono na polu mojej siostry w odległości 300 kroków od jej domostwa. Większość żołnierzy, zsiadłszy z koni i przywiązawszy je już to do płotu, już to do drzew owocowych, kręciła się po ogrodzie, albo obsadziła z braku piechoty rowy, albo weszła z oficerami do mieszkań. Oficerowie kazali przynieść jadło i napitek. Niebawem przemówiły armaty. Z początku nikt nie rozumiał, że tak bliskie grozi nam niebezpieczeństwo. Ludzie wychodzili śmiało z domów, sąsiedzi znosili do mej piwnicy brzemiona z ubraniami, a na rzece widziałem kobiety, które spokojnie prały bieliznę. Wnet jednak dały się słyszeć głośnie wołania, podawane z ust do ust, że pociski wpadają do wsi, że nad tym lub owym domem czy ogrodem pokazały się dymy pękających szrapneli. Wyszedłem za próg domu, by zobaczyć, co się dzieje, gdy ujrzałem przed sobą obcego człowieka, który trzymał w ręce jakowyś papier. Skąd wy, ojcze, i czego chcecie? zapytałem. Jadę wozem z Gorlic do Ryma-

nowa i przynoszę od tamtejszych księży list, brzmiała odpowiedź. Odebrawszy list, poznałem w tej chwili piękne pismo ks. Zajchowskiego, zagadując równocześnie: A gdzie macie konie? Przy dworze odrzekł woźnica. Ojcie, zawołałem, czy wy nie wiecie, że w tej chwili jest tutaj bitwa? Biegnijcież czym prędzej i ukryjcie się gdzie z końmi, a gdy do Gorlic wrócicie, powiedźcie księżom, że ich pięknie pozdrawiam, ale im nie odpisuję, bo w tej chwili niema na to czasu. Woźnica odszedł, a ja jąłem ciekawie czytać otrzymane pismo. Dowiedziałem się z niego, że ks. Zajchowski i Balicki bawią dalej u ks. proboszcza w Gorlicach, że pierwszy patrol rosyjski przybył tamże 15 listopada, a więc trzy dni później, aniżeli do Klimkówki, że 11 i 13 grudnia odbyły się bitwy pod Gorlicami i że się po nich Moskale cofnęli.

Wśród tego walka trwała. Od czasu do czasu spadały na wieś rosyjskie szrapnele, ale, pękając zwyczajnie za wysoko, nie wyrządzały szkody. Jeden zapalił wprawdzie dom, położony niedaleko tartaku dworskiego, atoli pożar zaraz ugaszono. Jaki skutek sprawiły nasze armaty, nie wiemy. To pewne, że bateria, stojąca na polu siostry, dała zaledwie 17 strzałów, tudzież że około pół do trzeciej po południu Austriacy opuścili plac boju i wynieśli się z armatami, amunicją i Czerwonym Krzyżem na Wulkę. A stało się to tak nagle i szybko, iż jakiś generał austriacki, który przed dwiema godzinami w towarzystwie oficerów zajechał na plebanję, nie miał czasu zjeść obiadu. Za to od strony północnej walka przeciągnęła się: od Kamiennej Góry i Wróblika dolatywały strzały karabinowe aż do późnego wieczora. Jeszcze dłużej słychać było pukaninę w Iwoniczu. Dopiero, gdy około 7 godziny spadł deszcz rześisty, nastała cisza. Tak było w Klimkówce 22 grudnia 1914 r.

Krótko tedy trwała nasza radość. Po dziesięciu dniach ciągłych zapasów, na któreśmy z bliska patrzyli, dostaliśmy się po raz trzeci pod jarzmo moskiewskie. Na nic się nie przydały wykopane wśród zasianych pól szańce, których nie było kim obsadzić, na nic wycięte w lesie i po potokach drzewa, na nic pozabierane druty i deski, które później, za rządów rosyjskich, Rusini z Wróblika zwozili do swoich domów. A jednak dziękowaliśmy Bogu i za to. Gdyby Austriacy byli stawiali długi opór, mogłaby, przy przeważającej sile nieprzyjacielskiej, wieś bardzo ucierpieć.

Na drugi dzień rano stało się to, cośmy przewidywali: około godziny dziewiątej zajechał do wsi patrol kozacki, rabując, tym razem przedewszystkiem chleb, swoim zwyczajem. Jeszcze gorzej zachowywali się idący za nimi ułani 113 pułku. Dwóch np. z nich przybyło do jednego gospodarza, któremu kazali sobie otworzyć stajnię. Zobaczywszy w niej rasowego wołu, ofiarowali za niego trzy ruble. Gdy gospodarz nie chciał się na tą cenę zgodzić, zabrano wołu przemocą i powiedziano właścicielowi, że jeśli chce, może razem z nimi iść do „komandyna“, bawiącego w Rymanowie. Gospodarz poszedł. Pod miastem spotkali jadące w stronę Klimkówki kuchnie polowe, dla których właśnie był wół przeznaczony. Przywiązawszy wołu do jednej z nich, żołdaci wsiedli na konie i zdążyli szybko do miasta. Gospodarz śpieszył za nimi, o ile mu siły pozwalały. Za chwilę nadjechało od Rymanowa trzech innych ułanów, którzy go pytali, co tu robi. Skoro wieśniak opowiedział całe zdarzenie, zastąpili mu końmi drogę i trzymali tak długo, dopóki rabusie i wół nie znikli mu z oczu, poczem, zaciąwszy konie, odjechali. Niebawem zjawił się na koniu

nowy ułan, który także zagadnął chłopą, po co tu przyszedł. Chłop, widząc, że ani wołu, ani pieniędzy za niego nie otrzyma, zawrócił z drogi. Towarzyszący mu ciągle ułan rzekł po pewnym czasie do niego: „Dawaj buty, a ja ci dam moje!“, a gdy ten rozkaz nie skutkował, zastępował mu co chwila drogę, a raz nawet uderzył go szablą po plecach. Skoro zbliżyli się do Klimkówki, chłop zboczył na drogę, prowadzącą do folwarku dworskiego. Żołnierz jechał krok w krok za nim, ale gdy ujrzał przed gorzelnią służbę dworską, zaniechał dalszego pościgu.

Przed południem tegoż dnia, tj. 23 grudnia, zjawił się nagle 75 pułk piechoty, ten sam, który przy drugiej inwazji przybył do nas pierwszy. Olbrzymi rój żołnierzy obsiadł całą organistówkę i cały plac wokół kościoła. Przechadzałem się wówczas pod domem. Kilku oficerów, do których przyłączył się pop schizmatyczny, zobaczywszy mnie, zszedł z koni i zaczęło iść w kierunku mego domu. Prowadził ich wysoki i dobrze zbudowany mężczyzna w sile wieku, pułkownik Salikow. Powitałem go po polsku i otrzymałem od niego także polską odpowiedź, gdyż pułkownik, jak mi mówił, mieszkał dłuższy czas w Warszawie i stykał się tam z rodzinami polskimi. Goście mieli u mnie tylko wypocząć na chwilę i rozgrzać się, a zabawiwszy kilka godzin, udali się później do gminnego budynku, gdzie im tymczasem przygotowano mieszkanie i obiad. Po ich wyjściu zobaczyłem przed domem jednego z owych dwóch oficerów Polaków, którzy nocowali u mnie w listopadzie. Był to p. Pstrągowski, przydzielony obecnie do Czerwonego Krzyża. Od niego dowiedziałem się, że drugi oficer Polak dostał się do niewoli austriackiej. Tymczasem żołnierze zajęli kwatery przeważnie w środku wsi. W domu

mojej siostry stało około 50 ludzi, między którymi było kilku pocziwych Polaków. Ludzie ci zachowywali się dość grzecznie dzięki interwencji p. Pstrągowskiego. Ponieważ jednak przez całą noc palono po ogrodach ognie, przeto ani siostra, ani szwagier spać się nie kładli. Też same nocy przejechała przez wieś artylerja w kierunku Wulki.

Nadeszła wilja Bożego Narodzenia. Od samego rana dolatywał dość bliski głos strzałów armatnich i karabinowych od Równego i Wietrzna. Później ozwały się działa gdzieś tuż za Wulką i przypuszczaliśmy, że przywiezione w nocy armaty strzelały z sąsiednich Przyimiarek. Po pierwszej z południa pułk odszedł w stronę lasu, a niedługo potem dały się słyszeć od Iwonicza karabiny, którym chwilami pomagały działa. Ta straszna strzelanina ciągnęła się bez przerwy do późnej nocy. Czasami zdawało nam się, że strzały posuwają się ku Żmigrodowi, czasami znowu, że zbliżają się ku Miejscu Piastowemu. W pierwszym razie zwyciężaliby Rosjanie, w drugim Austriacy.

Wśród takich okoliczności zamigotały na pogodnym firmamencie pierwsze gwiazdy i nadszedł czas wigilijnej wieczerzy. Ale tego roku nigdzie prawie w Klimkówce takiej wieczerzy nie było. Ludzie połamali się wśród łez i wzdychań opłatkami i spożyli zwykły posiłek. Tak było i u mnie: podano na kolację ziemniaki z kwaśnem mlekiem. Już trzeci raz w życiu, rozmyślałem wówczas, obchodzę tak smutno wilję. Najpierw w r. 1895, gdy z ks. Gabryłem, późniejszym profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, siedziałem za stołem w jakimś katolickim hotelu w Paryżu, spożywając suchą rybę; drugi raz w roku 1904, a więc w 10 lat później, gdy, wzięwszy urlop, przebywałem dla celów naukowych w Lowanijum. Atoli ta



trzecia po nowem dziesięcioleciu wilja była chyba najcięższa. Kiedy tak dumałem w cichem towarzystwie siostrzeńca i siostrzenicy, zaczął ktoś pukać do drzwi. Otworzyliśmy. Z przyjemnością zobaczyłem przed sobą p. Pstrągowskiego, który z kilku oficerami i z mnóstwem wozów pozostał w Klimkówce, a który zdziwił się z pewnością zastawszy mnie przy ziemniakach i kwaśnem mleku. Przyjąłem go jabłecznikiem i herbata, bo czego innego nie miałem pod ręką. Od niego się dowiedziałem, że Rosjanie zajęli Wulkę, a jutro posuną się dalej.

Jeśli smutna była wilja, to nie weselsze samo Boże Narodzenie. Na pasterkę, która miała się odbyć nie o północy, jak po inne lata bywało, lecz nad ranem, zebrało się, mimo ciepła i pogody, tak mało ludzi, że rozpoczęcie nabożeństwa musiało się opóźnić o pół godziny. Podczas sumy miałem kazanie: zachęcając do cierpliwości i budząc nadzieję, zalewałem się jednak łzami. Tem głośniejszym płaczem wybuchał co chwila lud. Bo jakże było nie płakać, skoro w uroczystość, przypominającą tak radosną pamiątkę, trzeba było słuchać, od zachodu, wschodu i południa, bliskich strzałów karabinowych, od których ginęły tysiące ludzi, a nadto żyć w ciągłej obawie o własne zdrowie i życie. Strzały trwały także po południu; owszem, nie ustawały i podczas nocy. Nadto, przy nadzwyczajnej ciszy nocnej, słychać było na Górnjej Posadzie albo na t. zw. Ruskim gościńcu turkot wozów i nawoływania ludzkie, z czego wnosili niektórzy, że Moskale ustępują.

W uroczystość św. Szczepana mniej było strzelaniny, aniżeli na Boże Narodzenie, ale nie mniej przykrości. Soldaci, będący przy wozach amunicyjnych i kuchennych, tudzież przy wozach Czerwonego Krzyża, nie tylko palili dalej, jak dotąd, płoty, lecz zaczęli brać po wsi siano za

bezcen. Przychodziło stąd po domach do przykrych awantur. Pewnego gospodarza, który nie chciał dać siana za zbyt niską cenę, jaką mu ofiarowywali żołnierze, oskarżono najniesłuszniej przed oficerem, jakoby rzucał na nich siekierą. Oficer, zamiast ukarać żołnierzy, kazał uwięzić gospodarza, a nawej groził mu śmiercią. Biedna żona uwięzionego zabiegła mi po sumie drogę z prośbą, bym się wstawił za jej mężem. Na szczęście wystarczyło wstawiennictwo u pocziwego p. Pstrągowskiego. Za kilka godzin po tem zdarzeniu wyniosły się ze wsi wszystkie wozy w stronę Iwonicza.

Zdawało nam się, iż może choć przez kilka dni będziemy wolni od Moskali. Gdzie tam! Jeszcze w dzień św. Szczepana przejechał przez wieś późnym wieczorem duży oddział konnicy, który przybył od Wulki. Następnego dnia, a była to niedziela, snuli się po wsi żołnierze piesi i konni, domagając się natarczywie chleba lub paszy, skutkiem czego na nabożeństwo przyszło mało mężczyzn. Kiedy po sumie garstka ludzi z Pustek wracała do siebie, ujrzała mnóstwo piechoty nad t. zw. Potoczkiem, położonym za pierwszą, licząc od wsi, górą. Piechotę tą poszła niebawem do lasu. Stąd gdy po paru godzinach dały się słyszeć od strony południowej strzały, byliśmy w obawie, że w nocy przyjdzie do bitki tuż koło wsi, albo we wsi samej. Wobec tego wielu kładło się do łóżka w ubraniu.

Ale i to niebezpieczeństwo minęło. Natomiast przyszły inne przykrości. Przez trzy dni następne wpadało z nienacka do wsi po kilkuset żołnierzy na koniach za paszą i zbożem. Jedni z nich zstępowali z drogi, jadąc z Krosna do Rymanowa, drudzy przybywali od strony wschodniej. Brano przedewszystkiem siano, owies i jęczmień, a płacono po swojemu, tj. albo mało albo nic. Największe stosunkowo szkody poniósł w tym czasie

ks. proboszcz. Równocześnie łazili po wsi żołnierze, szukając chleba. Po paszy i zbożu przysła kolej na bydło. Ostatniego grudnia stanął kwaterą na plebanji oficer, przysłany na zakupno krów. Tegoż dnia nabył 37 sztuk, a następnego przeszło 40, płacąc za krowę, która była warta np. 200 lub 400 koron, 40 lub 70 rubli.

Jeszcze nie odpędzono zakupionego bydła, gdy rozpoczęły się nowe poszukiwania za sianem. Na Nowy Rok przybyło w tym celu wielu żołnierzy na koniach przez pola przed sumą. To samo działo się w dniach następnych. Tu i ówdzie żołnierze wdzierali się gwałtem do stodół i na poddasza albo wylazili na dachy i rozbijali drzwi w t. zw. facjatach. Wszyscy zaś byli mistrzami w przewożeniu siana, co odbywało się w ten sposób, że przed jeźdźcem zwieszały się po obu bokach konia dwie, z każdego boku jedna, wiązki tak wielkie, że ośmiu lub dzieściu jeźdźców potrafiło zabrać dużą furę.

Kiedy 3 stycznia przyjechał do wójta żandarm z poleceniem, by zakopano zdechłe w obrębie gminy konie, dowiedziano się, że gmina może się zwrócić do komendy rosyjskiej w Besku o przysłanie żandarmów, którzy będą bronili mieszkańców przed grabieżą i nadużyciami żołnierzy. Rzeczywiście dnia następnego wybrał się w tym celu ks. proboszcz z wójtem do Beska. Atoli żandarmów nie wyjednał, gdyż komendant żandarmerji przyrzekł dopiero rozpatrzeć sprawę. Wobec tego grabieże żołdatów trwały bezkarnie dalej.

Od ks. proboszcza dowiedzieliśmy się, że w Besku działo się jeszcze gorzej, aniżeli u nas. Drewniany most na Wisłoku spalony, dwór kulami rozbity, proboszcz ks. Knap sypia w sieni, wojska pełno we wszystkich budynkach i po wszystkich ogrodach. Nadto Besko ucierpiało wiele podczas Świąt Bożego Narodzenia od t. zw. dzięki

dywizji generała Kellera, która rabowała wszystko, co jej wpadło w rękę. Ta dywizja szalała także w Jaćmierzu, Zarszynie, Bażanówce i Odrzechowej, siejąc postrach i szerząc spustoszenie przede wszystkim po dworach. Była nawet w Rymanowie, niszcząc folwark plebański, tak dalece, że proboszcz musiał rozpuścić służbę. Potem poszła w stronę Jasłisk, gdzie, jak później opowiadano, posłyszawszy strzały, rzuciła się bez rozkazu do walki, w której poniosła ogromne straty. Pozostali przy życiu żołnierze tej osławionej dywizji mieli mówić: „Szczu to za wijna, czołowik ne był i ne rizał, a wże musyt wmeraty“!

Równocześnie z tem wszystkim dochodziły nas posłuchy, że Austriacy okopali się dobrze w Karpatach, że zabrali Moskalom wielkie magazyny z owsem i sianem, że gdzieś na zachodzie wojsko rosyjskie doznało od Austriaków i Niemców, którzy przyszli Austriakom na pomoc, porażki i dlatego przenosi się, na co rzeczywiście patrzyliśmy przez parę dni, ku wschodowi. Sami Moskale mówili często: „Na waszych Trzech Królj przyjdzie do was German“. O Krakowie nikt już z nich nie wspominał. Za to chłopci dworowali sobie: „A gdzie macie Kraków? Pewnie go na plecach niesiecie!“

Przepowiednia żołdatów o przyjsciu na Trzech Króli wojsk austriackich czy, co na jedno wychodziło, niemieckich, nie spełniła się. Co więcej, w sam ten dzień przyjechało do wsi przed sumą kilka wozów rosyjskich po siano i słomę, skutkiem czego bardzo mało mężczyzn przyszło na nabożeństwo. Nazajutrz przypadło u Moskali Roźdestwo Chrysta czyli Boże Narodzenie. Myśleliśmy, że choć w tym dniu będziemy wolni od najazdu. Ale nie. Po południu jedna wataha zajęchała po paszę wozami, a druga w tym samym celu na koniach.

Niebawem zaczęły chodzić nowe słuchy. Koło Jasła odbywa się bitwa, w której nasi najpierw posunęli się naprzód, a potem się cofnęli; Austriacy uderzyli na Moskali z Węgier przez Lisko i Baligród; pod Przemyślem ponieśli Rosjanie ogromną klęskę; pani Ostaszewska, będąc w Krośnie z prośbą, by tamtejsza komenda dała jej dwóch kozaków do straży dworu, dowiedziała się, że Zakopane jest w rękach moskiewskich. Lecz tylko pierwszą z tych wieści można było niebawem sprawdzić. Brat ks. proboszcza, przybywszy z Jasła koleją, opowiadał, że przed tygodniem była tam trzydniowa walka, w której zginęło wiele osób cywilnych, i że po tej walce Rosjanie zajęli miasto; nadto według jego opowiadania wojsko austriackie bawiło wówczas w Gorlicach i walczyło z nieprzyjacielem, napierającym od strony Żmigrodu.

Tymczasem rabunkowe najazdy na wieś odbywały się dalej, tem bardziej, że w okolicy nagromadziło się tak wielkie mnóstwo wojska, jakiego dotąd nie było. Ze wszystkich stron, z dala i z bliska, z gościńca i z za gór wpadano do wsi za sianem, zbożem i krowami, a nawet za kurami, indykami, kaczkami, rybami, jajami, chlebem, mlekiem, ziemniakami i kapustą. Zdarzały się przytem napady nocne. Na Fichtach np. trzech żołdatów, przybyłych, jak się zdaje z Rymanowa, wpadło o północy do domu pewnej kobiety, której mąż był na wojnie, żądając pieniędzy, otrzymanych niedawno za jałówkę. Choć jednak bili kobietę i grozili jej nawet śmiercią, celu nie dopięli: przebudzone ze snu dzieci wszczęły w obronę matki taki krzyk, że rabusie, lękając się nadejścia sąsiadów, wynieśli się z domu.

W połowie stycznia zaczęto przebąkiwać, że stanie u nas kwaterą wojsko. Jakoż już 16 tego miesiąca przybyła istotnie do wsi ciężka artylerja, a gdy ta rano dnia

następnego wydalila się w stronę Sanoka, pojawili się po południu kwatermistrze, którzy zapowiedzieli na noc dwa pułki piechoty. Ponieważ tegoż dnia bez przerwy niemal przewalały się gościńcem wojska od zachodu na wschód, nasuwało nam się podejrzenie, że Rosjanie rozpoczynają odwrót, że tedy te pułki zatrzymają się u nas tylko na nocleg. W istocie późnym wieczorem nadciągnęło do wsi pięć tysięcy piechoty. Były to pułki 14 i 16. Pierwszym dowodził pułkownik Stankiewicz, podający się za Polaka i katolika, drugim pułkownik baron Bode, urodzony, jak mi sam mówił, z ojca katolika, a matki schizmatyczki. Tamten zamieszkał na plebanji, ten, u mnie. Nazajutrz tysiące żołnierzy zebrało się na ogrodzie organisty. Sądziliśmy, że gotują się do wymarszu. Niestety, za chwilę rozmieszczono ich, nieco inaczej, aniżeli wczoraj, po wsi, w niektórych domach było po sześćdziesięciu.

Zaraz też zaczęto urządzać linje telefoniczne, a nawet zakładać magazyny ze zbożem i sianem, z czegośmy wnioskowali, iż nasi goście zechcą u nas dłużej zabawić. Ponieważ w obu pułkach znajdowało się wielu żołnierzy młodych, którzy dopiero co z Rosji przybyli, przeto ćwiczano ich koło domów i po polach, a nawet urządzono dla nich strzelnicę. We wsi było gwarno, jak w rojnym ulu. Co chwila słyszało się rozmaite nawoływania w języku rosyjskim. Od czasu do czasu rozlegały się smętne, pełne tęsknoty pieśni, w których powtarzały się ciągle te same motywy, lub dawała się słyszeć głośna muzyka dętych instrumentów. W mieszkaniach i po ogrodach płonęły dzień i noc ogniska, podsycane resztkami rozebranych płotów lub rąbanemi drągami, które przynoszono na ramionach z lasu. Żołnierze, gotując ustawicznie „czaj“, opowiadali sobie i naszym o grozie wojny, o oblężonym Przemyśle, pod którym tysiące znalazło śmierć

straszną, lub o „mirze“, który ma niebawem nastąpić. Według zapewnień jakiegoś „dobrowolnego“ młodzieńczyka, który pod Przemyślem dostał się do niewoli austriackiej, a potem z niej uszedł, Austriacy dlatego się tak długo w Przemyślu bronią, że mają cztery podziemne tory kolejowe, łączące tę twierdzę z Węgrami; wnet jednak będą musieli się poddać, gdyż Rosjanie odkryli już trzy tory, które on na własne oczy widział, a czwarty w niedalekiej przyszłości odkryją. Natomiast inny młody człowiek szeptał po cichu swoim kolegom, że carowej, która nie mogła zrozumieć, dlaczego oblężenie Przemyśla tak się przewleka, zachciało się zobaczyć tę fortecę z aeroplanu, że jednak oblężeni ściągnęli aeroplan za pomocą magnesu. Teraz carowa, nie mogąc znieść strasznego wycia armat rosyjskich, daje z fortów swoim wojskom znak chorągiewką, żeby nie strzelały, skutkiem czego car będzie musiał zawrzeć pokój. Rzecz charakterystyczna, że w takie i tym podobne baśnie ogół żołdatów święcie wierzył.

Nie brakło też już wówczas wyraźnego narzekania na wojnę i na cara. Słyszało się je zwłaszcza wtedy, gdy żołdaci, dowożący na pole walki prowianty lub amunicję, opowiadali swoim kolegom o stosach niepożrebianych trupów, które widzieli w Karpatach. Wówczas niejeden skarżył się na wojnę i przepowiadał sobie los podobny. Bywało także, że ten lub ów żołdat, rozważając to wszystko, wpadał w gniew i klął bezwstydnie wszystkich carów, nie wyjmując rosyjskiego.

Dziewiętnastego stycznia wypadła uroczystość Jordanu. Związanego z nią obrzędu poświęcenia wody miał dokonać pop schizmatycki około dworu w Iwonniczu, gdzie mieszkał generał. Dlatego rano wspomnianego dnia wybrali się tam dwaj nasi pułkownicy wraz z wielu oficerami, bataljonem żołnierzy i muzyką. Za-

brano też sztandary, którym wojsko czyniło honory, a z których jeden znajdował się u mnie w pokoju Bodego. Natomiast zostawiono w Klimkówce inną świętość, przechowywaną w moim domu: prostą laskę, którą nosił Mikołaj II, gdy jako oficer służył przy 14 pułku. Była ona, jak mi mówiono, w większej czci u żołnierzy, aniżeli chorągiew pułkowa.

Pułkownik Bode był dla mnie bardzo grzeczny. Odwiedzał mnie codziennie i zapraszał do siebie, przywoził mi z biblioteki dworskiej w Iwoniczu, oczywiście bez mojej prośby, książki do czytania, pożyczał własnych czasopism angielskich i rosyjskich, które ośmieszały często cesarza austriackiego, a prawie zawsze niemieckiego. Zauważyłem jednak, że nie miał on wielkiej powagi u żołnierzy. Zakazał im np. na moją prośbę, żeby nie wyciągali z mego płotu i nie palili słupów dębowych, atoli z tego zakazu niewiele sobie robiono. Owszem, p. Bodem, jak można było łatwo zauważyć, rządził jego „dienszczyk“, który, obrażony na mnie za to, że nie miał wstępu do kuchni, trząsał drzwiami, śpiewał i gwizdał w pokoju, plamił w rozmaity sposób ściany i psuł meble.

W ogólności jednak należy powiedzieć, że dni pobytu u nas 14 i 16 pułku nie należały do najgorszych. Po domach był ścisk, a na dworze zgiełk, spalono nam wiele drzewa, a tu i ówdzie coś skradziono, ale byliśmy bezpieczni we dnie i w nocy o tyle, że najazdy żołnierzy, mieszkających w innych gminach, całkowicie ustały. W wielu miejscach żołnierze dzielili się chętnie z „chazajami“ i ich rodziną obfitą strawą, otrzymaną z kuchni polowej, i artykułami spożywczymi, których albo wcale nie można było dostać w sklepach albo tylko po bardzo wygórowanych cenach.

W kilku dniach ubiegłego tygodnia słychać było dalekie strzały od południa, a w dwóch pokazały się aeroplany. Noc z 23 na 24 stycznia była bardzo niepokojna: chwilami zdawało się, iż wojsko gotuje się do wymarszu. Rano rozeszła się między ludem pogłoska, przejęta od żołnierzy, że Austriacy pobili gdzieś na granicy węgierskiej Rosjan i że wskutek tego oba pułki miały już w nocy wyruszyć na pole walki; ponieważ jednak Austriacy cofnęli się do szanów, przeto pułki zostały nadal w Klimkówce.

Nie zostały jednak długo. Dwudziestego piątego stycznia, a więc po dziesięciu dniach pobytu we wsi, wyruszyły w stronę Rymanowa. Od tej chwili zaczęły się nowe poszukiwania za sianem, zbożem i bydłem, w czym smutno zapisał się w naszej pamięci Czerwony Krzyż owego 49 pułku kacapów, który dał nam się tak we znaki z początkiem grudnia, a który teraz przenosił się z zachodu na wschód. W wielu wypadkach niemałe usługi oddali ludziom dwaj żandarmi, strzegący z polecenia komendy krośnieńskiej tutejszego dworu. Równocześnie zaostrzyła się walka w stronie południowej. W dniach 27, 28 i 29 stycznia słyszeliśmy silną i bliską muzykę armat, a nawet karabinów maszynowych i zwykajnych w stronie Jasłisk i Dukli. Bitwa ta skończyła się prawdopodobnie klęską austriacką. Najpierw bowiem huk dział odsunął się od nas jeszcze dalej na południe i ku zachodowi, a powtórę przez kilkanaście dni następnych patrzyliśmy na setki i tysiące jeńców austriackich, prowadzonych od Dukli ku Rymanowu. W ten sposób od 1 do 10 lutego przeszło gościńcem około czternaście tysięcy jeńców, których nędzny wygląd sprawiał na nas przygnębiające wrażenie. Zdarzało się wszakże, że nas pocieszali jeńcy. Prawda, wołali niektórzy, Moskale za-

brali nas, ale nasi zabrali Moskali dwa razy tyle. Były też wieści, iż Austriacy umyślnie się posuwają na południe, aby wyciągnąć Rosjan z innych pozycji, a potem ich pobić, albo że w górach znikła bez śladu cała dywizja rosyjska wraz z generałem, który miał w swej kasie 12 milionów rubli.

Ponieważ przy końcu stycznia i na początku lutego spadły ogromne śniegi, przeto z rozkazu władz rosyjskich wychodzili ludzie do przekopywania zasp śnieżnych, a gdy później nastąpiły roztopy, kazano im całymi tygodniami za darmo lub za lichem wynagrodzeniem naprawiać, pod nadzorem żołdatów, gościńce. W Rymanowie zaprzągnięto do podobnej roboty Żydów i nie szczędzono im razów. Kilku z nich, uznanych za nieposłusznych, odstawiono do komendy etapowej w Besku i wymierzono im tam po pięćdziesiąt nahaжек.

Ruch wojenny trwał dalej. Wprawdzie działa najczęściej milczały, ale od czasu do czasu odzywały się znowu. Mniejsze oddziały konne i piesze przechodziły gościńcem ku wschodowi lub zachodowi, a do wsi wpadali po siano i słomę, po sanie i wozy poszczególni żołnierze. Czasem na noc zajeżdżały do wsi podwozy; czasem kwatermistrze zapowiadali przybycie wojska, które jednak wcale się nie pokazało; czasem aeroplan zasumiał wysoko nad naszymi głowami. Od dziewiętnastego lutego ruch ten spotężniał. Przez cały tydzień we dnie i w nocy jechały wozy, tudzież szły konnica i piechota od Krosna do Sanoka, przyczem nie obeszło się bez noclegów, głównie na dolnym końcu wsi i we dworze. Zdarzały się tam także rabunki, zwłaszcza od chwili, gdy się zandarmini z dworu wynieśli. Z początku byliśmy przekonani, że mamy przed sobą odwrót Moskali. Wychodziło nań patrzeć na wzgórza i na gościniec mnóstwo mężczyzn,

kobiet i dzieci, ciesząc się, iż koniec rządów moskiewskich nadchodzi. Radość była tem większa, że według coraz częstszych pogłosek Rumunja wypowiedziała wojnę Rosji. Dziwił nas jednak fakt, że walki za Duklą i Żmigrodem nie ustają. Gdy nie ustały nawet po przemarszu wojsk, nastąpiło pewne rozczarowanie: zrozumieliśmy, że to nie odwrót, ale jakieś przesunięcie pewnej armii od zachodu na wschód dla nieznanego nam celu. Później mówiono, że był to przemarsz posiłków pod Stanisławów, gdzie Rosjanom groziła porażka.

W ostatnich dniach lutego przyniósł ktoś z Rymanowa smutną wiadomość o wywiezieniu tamtejszego proboszcza ks. Wolskiego. Na szczęście w całej tej historii prawdą było tylko to, iż jakiś żołnierz rosyjski, który przybył z Królika, oświadczył pewnej kobiecie, że tamtejsi oficerowie rozmawiali pomiędzy sobą o mającym nastąpić aresztowaniu ks. Wolskiego, oraz że tenże, uwiadomiony o tem przez wspomnianą kobietę, wyjechał pokryjomo na dwa tygodnie do swej rodziny w Bliznem pod Brzozowem.

Nadszedł marzec. Zima, wogóle łagodna (największy mróz był 3 lutego i wynosił -12°R.), przybrała na ostrości. Mrozy powtarzały się często, a śniegu przybywało coraz więcej. Sytuacja wojenna była dla nas ciągle niejasna. Pewne rzeczy zdawały się przemawiać za tem, że Rosjanie myślą się wynosić na wschód, natomiast inne nic dobrego nie wróżyły. We wsi rządziło nami dwóch niesłychanie ograniczonych policjantów, którzy przywozili od komendanta etapowego w Besku, Iwana Petrowicza, coraz nowe rozporządzenia i przybijali je z zewnątrz na kościele. Zabierano też, choć rzadziej, aniżeli dotychczas, paszę i zajeżdżano na nocleg; gdzieś daleko, a czasem bliżej, od strony południowej odbywały się działa. Dro-

żyzna wznagała się coraz bardziej. Tak np. za kg przedniej mąki pszennej płacono się przed wojną 0'22 koron, a teraz 1'10 k.; za kg cukru przed wojną 0'96 k., a teraz 2'40 k.; za kg kawy przed wojną 8'80 k., a teraz 17 k.; za litr nafty przed wojną 0'32 k., a teraz 1'20 k. Topka soli, która kosztuje zwyczajnie 22 halerze, kosztowała koronę a nawet więcej. Stąd ciągle nam się nasuwała myśl, iż czeka nas głód, jeśli wojna potrwa dłużej. Czasami odwiedzali nas goście, zwłaszcza poczcwy ks. proboszcz wonicki Rafa z swoim ks. wikarym. Od nich dowiedzieliśmy się, że koło Stanisławowa ma się toczyć bój zażarty, że w drugiej połowie lutego uprowadzili Moskałe plebana z Lubatowy ks. Michała Siedleczkę, tudzież że ks. Janicki, proboszcz z Jedlicza, wywieziony przez Moskale do Lwowa, zakończył tamże życie. W tym też czasie złożył nam wizytę dr. Wojnicz, Polak katolik z Łucka, pełniący obowiązki starszego lekarza przy Czerwonym Krzyżu w Rymanowie. Był to dobry lekarz, a przytem nadzwyczaj szlachetny człowiek: nie tylko za darmo leczył ludność cywilną, lecz także bronił jej przed grożącymi nadużyciami i żądał od władz wojskowych kary, gdy one już były spełnione.

Dwunastego marca sprawdził dr. Wojnicz u mego siedmioletniego siostrzeńca ciężką chorobę, która już wówczas powaliła we wsi na łóżko kilka ofiar, tyfus. Wobec tego nowego nieszczęścia musiałem małe dzieci siostry zabrać do swego domu, a wszystkim nakazać jak największą ostrożność. Chory chłopiec, mimo jak najlepszej opieki lekarza i matki, męczył się przez kilka tygodni i zakończył życie. Na szczęście jednak nikt więcej z rodziny nie zachorował.

Druga połowa marca zaczęła się od silniejszych koncertów działowych. Słyszeliśmy je przez cały dzień prze-

dewszystkiem 18 marca w stronie Dukli, Żmigrodu i Jasła, a 20 marca w stronie Dukli i Jasłisk. Strzały te powtarzały się później w dniach 24 i 27 marca.

W tem zaszedł wypadek, który potężnie wstrząsnął umysłami wszystkich. Dwudziestego drugiego marca jeden z klimkowieckich wieśniaków, który był w Krośnie po towary, przywiózł stamtąd wiadomość, że tego dnia rano poddał się Przemyśl. To samo powtarzali ci, którzy tegoż dnia jeździli do Sanoka po mąkę, ofiarowaną przez rząd rosyjski dla ubogich. Z początku nikt temu nie chciał dać wiary, tem bardziej, że podobną wieść rozsiawano już kilka razy wśród wojska, by mu dodać większego zapału. Toż w pierwszej chwili nie wierzyli w zajęcie Przemyśla nawet żołnierze rosyjscy. Wnet jednak zaczęto urządzać obchody na uczczenie tej ważnej chwili. Taki obchód odbył się np. w Krośnie, gdzie popi schizmatycecy przemawiali na rynku do żołdatów i zgromadzonych z okolicy moskalofilskich Rusinów. Podobną uroczystość obchodzono na rynku rymanowskim. Nadto coraz więcej świadectw wiarogodnych zaczęło przemawiać za prawdziwością bolesnego faktu. Na Bartoszowie, niedaleko Rymanowa, musiał wylądować dnia 24 marca, z powodu zapalenia się benzyny, aeroplan austriacki. Otóż jadący w nim oficerowie, zgłosiwszy się w Rymanowie do dra Wojnicza, który jako podpułkownik był tam najstarszym co do rangi pośród oficerów rosyjskich, opowiadali, że tegoż dnia o godzinie 7 rano poddał się Przemyśl¹. Niedługo potem wrócił do Rymanowa jakiś

¹ Oficerów austriackich było dwóch: jeden Niemiec, drugi Czech. Czech cieszył się widocznie z upadku fortecy przemyskiej; natomiast Niemiec, opowiadając o fakcie, płakał z żalu i tak był zrozpaczony, że chciał sobie brzytwą, którą wyjął z walizki, poderznąć gardło. Dr. Wojnicz udaremnił jego zamiar, za to porucznik ofiarował

pochodzący stamtąd piekarz, który był w Przemyśle podczas oblężenia. Opowiadał on, że twierdza musiała upaść z powodu braku żywności, że załoga, zniszczywszy forty, chciała się przebić przez pierścień wojska nieprzyjacielskiego, że jednak temu nie podołała. To samo niemal powtarzał inny młody człowiek, rodem z Klimkówki. Podczas oblężenia Przemyśla pełnił on tamże obowiązki strażaka, a po jego upadku uszedł szczęśliwie niewoli i dostał się po wielu przygodach do miejsca rodzinnego.

Mimo to wszystko, niełatwo nam było pogodzić się z tem, jak wówczas sądziliśmy, nieszczęściem. Byliśmy niem ogromnie przygnębieni, bośmy sądzili, że upadek Przemyśla odda niebawem całą Galicję w ręce Rosji. Przytem nie mogliśmy pojąć, dlaczego powstał głód w twierdzy, która podczas pierwszego oblężenia nie wyczerpała przecież swoich zapasów, a potem wolna przez kilka tygodni od nieprzyjacielskiego pierścienia, miała dość czasu, by uzupełnić swe braki i straty.

W cztery dni po upadku Przemyśla jechaliśmy z ks. proboszczem na odpust do Rymanowa końmi, który przysłał po nas tamtejszy pleban. W drodze spotkaaliśmy na gościńcu 2 tysiące jeńców austriackich, prowadzonych przez kilku żołdatów w stronę Iwonicza. Była to mieszanina różnych narodowości, wzięta do niewoli w Karpatach. Widoku jej nigdy nie zapomnę. Wielu jeńców szło odartych: mieli tylko strzepy z płaszczów, a na nogach szmaty. Wielu wynędzniałych po

mu na pamiątkę pierścienia, zrobiony z pocisków rosyjskich. Niebawem po wylądowaniu aeroplanu, warto tu zauważyć ten charakterystyczny szczegół, zgłosiło się do dra Wojnicza kilku Rusinów z Tarnawki z doniesieniem, iż w aeroplanie spadli szpiegdy austriaccy i, prosząc o ich ujęcie, wyraźnie zaznaczyli, że pragną tylko moskiewskich rządów, bo pod austriackimi dość się już nacierpieli.

suwało się naprzód tylko z wielkim wysiłkiem i przy pomocy kija. Niektóre twarze były oszpecone prochem strzelniczym lub w wysokim stopniu obrzmiałe, na wszystkich malowało się niewypowiedziane przygnębienie.

W tym też czasie wpadł w moje ręce, całkiem przypadkowo, numer lwowskiego „Słowa Polskiego“ z dnia 20 marca. Wstępny artykuł tegoż dziennika, podpisany był przez mego kolegę z uniwersytetu, Stanisława Grabskiego. Profesor Grabski oświadczał się wprost za Rosją, a przeciw Austrii.

Zamykając wspomnienia z marca owego roku, dodam, że jak w pierwszej, tak i w drugiej połowie tego miesiąca mieliśmy w górnej i środkowej części wsi mniej kwater i rekwizycyj. Ciężyły one głównie na części dolnej, a przede wszystkim na folwarku dworskim, gdzie stało na dłuższy czas dwieście podwód.

Tak skończył się marzec, z wyjątkiem paru dni, brzydkich i zimnych.

Pierwszy kwietnia przyniósł nam nie bardzo miłą niespodziankę. Rano bowiem tego dnia przybyła do wsi pewna liczba kozaków dońskich z zapowiedzią, że nazajutrz, tj. w Wielki Piątek, przyjadą dwa ich pułki na dłuższy wypoczynek; u mnie miał zamieszkać generał. A więc nowa przyemność na same święta, które tego roku schodziły się w naszym i wschodnim Kościele razem. Wszelako Wielki Piątek minął, a wojsko nie nadchodziło. W Wielką Sobotę odbyły się w kościele spokojnie przepisane obrzędy i Msza św., podczas której po raz pierwszy, po kilkumiesięcznem milczeniu, odezwali się, z woli policjantów rosyjskich, dzwony¹. Do-

¹ Powiadam: „z woli policjantów rosyjskich“, gdyż istotnie przed niedzielą palmową polecili policjanci, poza plecami ks. proboszcza, wójtowi, aby kazał kowalowi dorobić serca do dzwonów.

piero około czwartej po południu zaczął częściami zjeżdżać 17 pułk kozaków, rozsiadając się wśród wielkiego zgietku po domostwach. Zapowiedziany jednak generał jeszcze nie przyjechał; za to przyjechało bardzo wielu wyższych i niższych oficerów, kilku lekarzy i pop. Ten ostatni przybył konno i zamieszkał w niedalekiem sąsiedztwie.

Wielkanoc była prześliczna: powietrze pachniało wiosną. Mimo pogody i ciepła, wzięło wszakże udział w rezurekcji mniej ludzi, aniżeli po inne lata; więcej przyszło na sumę, podczas której miałem kazanie. Moskale zebrawi się na swoje nabożeństwo w szkole: raz około północy, drugi raz przed południem. A jednak już w południe wielu oficerów zataczało się pijanych po drodze gminnej. Gdy po sumie przyjmowałem u siebie gości na skromnem święconem, dano mi znać, że zajeżdża samochodem generał. Wyszedłem na werandę, aby go powitać i oddać mu pokój, a uczyniłem to tem chętniej, że przed chwilą oficerowie podawali go za Polaka. Generał przedstawivszy się, wyraził zadowolenie z mieszkania, tylko narzekał na złe drogi galicyjskie; z uwagi mojej, że były one przedtem dobre, a stały się złe skutkiem wojny, jakoś nie był zadowolony.

Po nieszpórach poszliśmy z ks. proboszczem do dworu, gdzie było tylu kozaków, iż nikt nie mógł przybyć do kościoła. Nie wiedziano tam więcej od nas, jak się obecnie przedstawia wojna we Francji, w Królestwie i Galicji; wierzono nawet, że Przemyśl jest dotąd w rękach austriackich. Wracając z dworu, natknęliśmy znowu na zataczających się oficerów. Kiedy wstąpiłem do siostry, przybiegła z mego domu jedna z siostrzenic z oznajmieniem, że generał obraził się bardzo, iż jego dienszcykowi nie dano w tej chwili miednicy i ławki, któ-

rych generał potrzebował, że piląc spełnienie swego rozkazu, wpadł zgniewany do kuchni, bił pięściami o stół i nie przyjmując żadnego tłumaczenia się ani siostrzenicy, ani siostrzeńca, wołał: Ja was tu nauczę po rosyjsku! Wglądnąwszy w tę sprawę, przekonałem się, iż dienszczyk nie otrzymał w kuchni żądanych przedmiotów, bo nie umiał ich nazwać po polsku, a z ruchów, czynionych przezeń rękami, nikt na całym świecie nie mógłby zrozumieć, iż generał potrzebuje do umycia się ławki i miednicy. W tej chwili udałem się do swego domu, by osobiście wskazać generałowi przyczynę przykrego nieporozumienia. Zaledwie wszedłem do mieszkania bocznymi drzwiami, gdy wbiegł za mną tą samą drogą dufny w siebie generał, wołając w przedśionku i na kurytarzu, że on tu za wszystko płaci, że musi mieć wszystko, czego mu potrzeba. Oczy żarzyły mu się, jak rozpalone węgle. Prosiłem go, by wszedł do mego pokoju, a skoro to uczynił, powtarzając ciągle te same słowa, prosiłem, by usiadł. Musiałem zaś tę ostatnią prośbę powtarzać kilka razy i to z naciskiem, zanim się do niej generał raczył przychylić. Kiedy, omawiając zajście, powiedziałem, że dzieci mojej siostry, nie umiejac po rosyjsku, nie mogły zrozumieć służącego, generał zawołał z gniewem: Czemu wy nie umiecie po rosyjsku, czemu ja umiem po polsku? Myśmy się, odpowiedziałem, po rosyjsku nie uczyli, a pan generał jest Polakiem. Ja Polakiem? Przecież i prości żołnierze przed paru dniami i dzisiaj oficerowie mówili mi najwyraźniej, że Pan jest Polakiem. Ja wcale nie jestem Polakiem; mam tylko nazwisko polskie i utrzymuję stosunki z rodzinami polskimi.

Po tych słowach przeprosiłem pana generała, że śmiałem go uważać za Polaka, i widząc, iż nie ma ochoty mówić ze mną po polsku, zaproponowałem mu język

francuski. Zgodził się: ponieważ jednak mówił po francusku gorzej ode mnie, przeto wnet wrócił pierwszy do języka polskiego. Tłumaczyłem mu wówczas ponownie, że moi krewni, mimo najszczerzych chęci, nie spełnili jego życzeń tylko dlatego, iż się nie mogli porozumieć ze służącym. Zapewniłem także generała, że go uważałem i będę uważał za swego gościa, a tem samem będę dbał o to, aby mu było dobrze w moim domu. Prosiłem go jednak o wyrozumiałość. Wszak wojna zaskoczyła mnie na wsi całkiem nieprzygotowanego. Od pięciu przeszło miesięcy nie pobieram pensji profesorskiej i żyję z tego, co mi daje siostra. Stąd, choćbym rad, nie będę mógł spełnić wszystkich jego życzeń. Na to wszystko generał powtarzał raz po raz, że on musi mieć wszystko, czego potrzebuje, bo za wszystko płaci. Jeżeli tedy zażąda ode mnie np. mięsa, to muszę mu je dać. Jakżeż dam, odrzekłem, skoro sam nie mam, skoro go nie dostanie za żadne pieniądze w pobliskim miasteczku?! Co to znaczy: nie mam, wołał generał, musi być, bo ja płacę. Co mnie to obchodzi, że w miasteczku nie sprzedają mięsa? A kury ksiądz ma? Nie mam, bo ja żadnego gospodarstwa nie prowadzę. A we wsi ich niema? Być może, że się gdzieś jeszcze jaka znajdzie, ale gdzie jej szukać, skoro już tyle kur wybrało wojsko? Ależ my kozacy, brzmiała odpowiedź, przed nami nic się nie ukryje, my dostaniemy wszystkiego, czego chcemy.

Niezawodnie, pomyślałem sobie, dla was niema żadnych praw, żadnej własności, żadnych drzwi, żadnych zamków. I przypomniałem sobie wszystko, co pisał Sienkiewicz o kozakach, żyjących za czasów Chmielnickiego. Poczem zacząłem znowu zapewniać generała, że uczynię dla niego, co będzie w mej mocy. Wyraziłem nadto na-

dzieję, że i on będzie zadowolony z pobytu w moim domu, jak było zadowolonych wielu innych oficerów rosyjskich, przyczem wymienilem dla przykładu nazwisko barona Bodego. Co Bode! Przecież on nie miał tego, krzyknął z lekceważeniem generał, wskazując na swoje czerwone lampasy u pantalonów. Dał mi też do zrozumienia, że go nie tytułuję tak, jak należy. Czy tedy pan generał, zagadnąłem, ma tytuł ekscelencji? Nie, odpowiedział, mam inny tytuł, ale go po polsku wyrazić nie umiem. Zaczął mi tedy prawić, że po rosyjsku mówi mu się: „Jego Prewoschodicielstwo“. Przeprosiłem go jednak, że, nie władając rosyjskim językiem, nie mogę go tak tytułować, że nawet nie potrafiłbym składowanie powtórzyć tego słowa.

Kiedy dalej pytałem generała, czy ma jeszcze jakie życzenia, wówczas zażądał stanowczo, by jego służący spał w kuchni. Odpowiedziałem na to, że kwatermistrz, który zamawiał dla niego pomieszkanię, wcale o to nie prosił, że zresztą jest to rzeczą niemożliwą, bo w kuchni śpią moje siostrzenice, z których jedna jest nauczycielką, a druga skończyła szkołę wydziałową. Przecież żołnierz, mówiłem, nie może spać razem z pannami! A czemu nie?! zawołał generał. Co też pan generał mówi? Czy kto w świecie cywilizowanym słyszał o takich rzeczach? Pamiętaj ksiądz, że to wojna, a my kozacy! *C'est la guerre, c'est la guerre*, powtarzał generał, przyczem jego oczy ciskały ciągle złowrogie błyskawice. Widziałem, iż mój niegrzeczny gość postanowił koniecznie postawić na swoim. Wobec tego oświadczyłem, że, ulegając jego natarczywemu żądaniu, umożliwię służącemu nocleg w kuchni w ten sposób, iż odstąpię siostrzenicom swoją sypialnię, a sam będę spał razem z siostrzeńcem w tym pokoju, w którym toczy się rozmowa. Gdy potem za-

żądał ode mnie generał, by służący mógł gotować w kuchni przy moim ogniu, zgodziłem się na to najchętniej.

Po załatwieniu tych spraw, rzekł udobruchany generał: „No, teraz już wnet skończy się wojna“. Myślałem, że mówiąc to, ma na myśli upadek Przemysła, za chwilę usłyszałem ze zdziwieniem następujące słowa: „Wasz Ojciec święty pisał do austriackiego cesarza Franciszka, żeby jak najprędzej zawarł pokój, na co cesarz odpowiedział, iż spełni to życzenie Papieża, bo pragnie umierać jako posłuszny katolik“. Przyjąłem milczeniem tę charakterystyczną opowieść i zacząłem rozmawiać o czym innym, a mianowicie o strasznych skutkach wojny. Na ten temat miał wiele do mówienia sam generał dzięki własnym doświadczeniom. Nareszcie zakończył rozmowę słowami: „Teraz idę do siebie“, poczem opuścił mój pokój, nie podawszy mi ręki.

Gdy zostałem w pokoju sam, zacząłem rozważać, co zaszło. Spotkała mnie wielka przykrość w moim własnym domu od człowieka, którego przyjąłem szczerze, którego uważałem za Polaka. Może ten człowiek nie jest generałem. W każdym razie takiego generała chyba bym nie znalazł w armii żadnego cywilizowanego narodu. A może ten człowiek nie był trzeźwy, lecz mówił i działał pod wpływem alkoholu, bez którego nie może żyć żołnierz rosyjski. To pewne, kozak pokazał prawdziwą swoją skórę.

Na swoje szczęście generał G., od tej głoski zaczynało się jego nazwisko, uznał swój błąd niebawem. Był u mnie zaraz dnia następnego, a nawet chciał mnie, jak się zdaje, zabrać z sobą do powozu na przechadzkę, ale mnie nie zastał w mieszkaniu. Gdy mnie zaś rano we wtorek po świętach zobaczył na ogrodzie, przyszedł

do mnie i powiedział: „Przepraszam księdza, żem przedwczoraj był tak niegrzeczny. Ale widzi ksiądz, za wiele się piło“. Po tych słowach wyciągnął do mnie rękę. Z ochotą oczywiście podałem mu dłoń i, nawiązując do ostatnich słów, rzekłem: To się już nie jednemu wydarzyło, poczem dodałem: Przedwczorajsze zajście było dla mnie nad wyraz przykre, ale przyjmuję ochotnie dzisiejszą satysfakcję i chcę zapomnieć o tem, co się stało.

Od tego czasu był pan generał uprzedzająco grzeczny i dla mnie i dla moich krewnych. Przychodził do mnie często i opowiadał o ciekawych szczegółach z wojny, jak np. o tem, że dnia 22 grudnia strzelał do Austriaków w Rymanowie i Klimkówce, oraz zapytywał, czy nie potrzebuję wina i mięsa, na co zawsze przecząco odpowiadałem, albo czy nie mam jakich spraw do załatwienia w Galicji wschodniej. Kiedy okazałem ochotę do napisania listu do ks. acybiskupa Bilczewskiego, obiecał list odesłać na miejsce kozakiem, a gdy w kilka dni sam wyjeżdżał do Lwowa na trzy tygodnie, oświadczył, że list z sobą zabierze i do pałacu arcybiskupiego poda. List napisałem i wręczyłem generałowi. Nie byłem jednak pewny, czy list do rąk ks. arcybiskupa dojdzie, tem bardziej, że jeszcze w połowie stycznia wysłałem przez pewnego oficera rosyjskiego pismo do ks. Weredyńskiego, a nie otrzymałem żadnej odpowiedzi¹.

W kilka dni po nieporozumieniu z generałem, spotkała proboszcza klimkowskiego i mnie inna niemiła przygoda. Wracaliśmy wieczorem z przechadzki, gdy jakiś całkiem pijany kapitan kozaków, jadący rysią, bez czapki na koniu, w towarzystwie kilku oficerów, zaczął na nas umyślnie najeżdżać na gminnej drodze, niedaleko

¹ Okazało się później, że generał spełnił obietnicę.

dworu. Najeżdżał raz w jedną, drugi raz w drugą stronę i zmuszał nas do przeskakiwania przydrożnego rowu. Kiedyśmy się ostatecznie schronili pod drzewa, podjechał do nas i wyciągnął najpierw do mnie rękę, wołając po polsku coraz głośniejsze: No proszę, proszę, proszę! Nie wiedziałem, co oznaczają to podanie dłoni i te słowa, czy chęć wyciągnięcia mnie na konia, czy też zamiar dania jakiejś satysfakcji. Po pewnem wahaniu się podałem kapitanowi rękę, czem go zadowoliłem. Przyszła kolej na mego towarzysza. Ten, stojąc dalej ode mnie, podał rękę tak, iż kapitan nie mógł jej ująć, i dlatego, wpadłszy w złość, chciał uderzyć kijem proboszcza, a udobruchał się dopiero wówczas, gdy tenże podszedł bliżej. Potem kapitan chwając się ciągle na koniu, powiedział nam po rosyjsku kazanie: polecił nam się modlić o pomyślność oręża moskiewskiego, a w szczególności o to, żeby Rosjanie doszli zwycięsko aż do Wiednia.

Miałem zamiar przedstawić tę sprawę generałowi G., który wówczas bawił jeszcze w Klimkówce, i żądać ukarania kapitana, ale odradził mi to dr. Wojnicz. Taka skarga, mówił, niechy nie zaszkodziła winowajcy, a mogłaby bardzo łatwo spowodować zemstę ze strony kozaków, którzy podobnemi nadużyciami popisują się bezkarnie we własnym kraju.

Cóż dopiero powiedzieć o zachowaniu się pijanych oficerów wobec ludu! Niektórzy z nich czynili po nocach takie burdy, iż zdawało się, że ani jeden sprzęt w domu nie zostanie cały i że przyjdzie do rozlewu krwi.

Łatwo się domyśleć, co by się działo we wsi, gdyby nie tylko oficerowie, ale także zwykli żołnierze mieli pod ręką trunki. Dwa razy kilku prostych kozaków, szukając w dworskiej gorzelni wódki, napiło się popłóczyn z kotła,

w którym była przedtem wódka, i podchmieliło sobie: robili wówczas awantury i zaczepiali w biały dzień kobiety. Wyobraźmy sobie, że cały pułk kozaków dorwał się nie popłóczyn, ale wódki. Nie byłoby wówczas siły, któraby potrafiła położyć kres rozmaitego rodzaju nadużyciom i gwałtom.

Atoli i bez wódki wycierpieliśmy wiele. Kozacy celowali w odnajdywaniu rzeczy zakopanych lub zamurowanych. Choć na dworze było dość ciepło, ciągle płonęły po zagrodach ogniska, podsycane kradzionem drzewem. W ten sposób rozebrano na opał nie tylko część karczmy, stojącej przy gościńcu, której oczywiście nie żałujemy, lecz także parę szybów i zabudowań naftowych, tudzież niedokończony dom, wystawiony przez nafcjarzy obok dworskiej kaplicy św. Józefa. Na pozbawionych wszelkiego niemal płotu ogrodach stały konie, przywiązane najczęściej, skutkiem barbarzyńskiego uporu żołdatów, do szlachetnych drzew owocowych, odartych z kory. To też wiele ogrodów było tak wydeptanych, jak miejskie targowiska, na których każdego tygodnia sprzedaje się bydło. Mnóstwo koni biegało i pasło się luzem nie tylko po ogrodach, lecz także po oziminach. W domach i przed nimi zbierali się gromadnie żołnierze, śpiewali, grali na skrzypcach i harmonjach, bawili się, tańczyli z sobą, skakali jak opętani i hałasowali, czyniąc przez to niewypowiedzianą przykrość mieszkańcom. W domach, w których nie mieszkali starsi wojskowi, kupowano po niezmiernie niskich cenach lub brano za darmo kury, krowy i paszę. Po lasach polowano ustawicznie, wbrew wszelkim przepisom myśliwskim i mimo surowego zakazu najwyższego wodza. Często też, naśladując innych żołdatów, którzy przed nimi przez wieś przechodzili, powtarzali kozacy, że Galicja zostanie po wieczne czasy przy

Rosji. Tu wszystko nasze, wołali, ziemia nasza, pole nasze, zboże nasze, siano nasze. Jakiś kozak udowadniał zuchwale pewnej kobiecie, że jej dom już nie jest jej własnością, ale jego, bo on go sobie „wywojował“.

Jeszcze gorzej obchodzili się nasi kozacy z wsiami sąsiednimi. Dzień w dzień musieliśmy patrzeć, jak całe sotnie wyjeżdżały na koniach w okolicę po siano lub słomę i wracały z bogatym łupem wśród śpiewów i krzyków. Wyprawy takie robili żołnierze niekiedy o kilka mil, gdy się zwiedzieli o pożądanych zapasach: wtedy jednego dnia wyjeżdżali, a drugiego wracali. Często też brali z sobą, dla budzenia większego postrachu, karabiny i piki. Biedny lud okoliczny, łupiony niemiłosiernie, przychodził do Klimkówki, by się uskarżyć na żołdatów przed starszymi. Atoli pokrzywdzonych do starszych najczęściej nie dopuszczano, a czasem jeszcze okładano nachajkami. Zresztą starsi wiedzieli doskonale o wszystkim, co się działo, lecz, z małemi wyjątkami, nie karali nadużyć, bo sami je wywoływali.

Po wyjeździe generała G. okazało się, że mieszkanie, które w moim domu zajmował, było w najwyższym stopniu zanieczyszczone. Parkiety pokryła gruba warstwa błota, a na podrapanych i oplwanych ścianach, które przed przybyciem kozaków kazałem odświeżyć, osiadła sadza. Pewnego bowiem razu jego Prewoschoditelstwo, wypiwszy w miłym towarzystwie flaszkę konjaku, położył się spać, a nie zagasił kopnącej lampy. Powstały kopeć omal nie zadusił pana generała, który przez całą noc mocno chrząkał, a nazajutrz musiał jechać do Zakładu iwonickiego czy rymanowskiego, aby się wykapać. Załedwie oczyściłem mieszkanie, a już zgłosił się na kwatery chory kapitan, który dotąd mieszkał u mojej siostry, a gdy po paru dniach wyjechał do Lwowa, przyszedł

na jego miejsce inny. Żaden z nich ani się nie przywitał ze mną, kiedy się sprowadzał do mnie, ani nie pożegnał przy odjeździe.

Wśród tego odwiedzali nas niekiedy księża z Rymanowa i Iwonicza, albo my z księdzem proboszczem bywaliśmy u nich. W jednym i drugim wypadku pytaliśmy chętnie o nowiny. Opowiadano nam wówczas, że Tarnopol i Drohobycz odebrali Austriacy, a w okolicy Barwinka rozbili całą dywizję rosyjską, że koło Chocimia walczy nasza armja, że mieszkańcy Lwowa spodziewają się rychłego wyzwolenia z rąk moskiewskich, że pewien wzięty do niewoli oficer austriacki zapewniał w Rymanowie, iż za jaki tydzień nie będzie już tutaj wojska nieprzyjacielskiego, albo że Rosjanie otrzymali rozkaz, aby się nie posuwać dalej, lecz zabezpieczyć dobrze to, co posiadają.

W połowie kwietnia przyszedł do mnie niespodziewanie ks. Sos, proboszcz gorlicki, który już od kilku tygodni mieszkał w Targowiskach u swego brata Mateusza, będącego tam także proboszczem. Powitałem go jak najserdeczniej ze łzami w oczach, bo już wiedziałem, co się stało z Gorlicami, które obaj kochaliśmy. Obecnie usłyszałem z ust jego, jako naocznego świadka o tem wszystkim, co się tam stało. Miasto w znacznej części zburzone, kościół i plebanja w ruinie. On sam przez kilka tygodni sypiał z ks. Zajchowskim i Balickim, którzy u niego bawili, w piwnicy; tam też doznał kontuzji wskutek eksplozji pocisku. Kiedy nazajutrz wracał do Targowisk, dałem mu kilka listów do Lwowa z prośbą by je przy sposobności wręczył komuś, tam jadącemu. Zanim jednak mógł spełnić tę moją prośbę, przybył do mnie powtórnie dnia następnego w towarzystwie ks. Sobczaka i Machały z Miejsca Piastowego. Ks. Sobczak,

który właśnie wrócił ze Lwowa, przywiózł mi stamtąd kilka listów, a mianowicie od ks. arcybiskupa Bilczewskiego, od ks. Zajchowskiego, Gerstmann, Szydelskiego, Weredyńskiego, Warszylewicz i Lisowskiego, tudzież od alumnów Seminarjum duchownego. Nadto ks. arcybiskup, który otrzymał moje pismo, przywiezione do Lwowa przez generała G., przysłał mi swój List pasterski i kilka gazet z ostatniego tygodnia. To wszystko ogromnie mnie ucieszyło. Z listów dowiedziałem się, że we Lwowie jest w Seminarjum 24 kleryków, których wraz z przełożonymi i kilku profesorami żywi ks. arcybiskup, że połowa tych kleryków otrzyma na Zielone Świątki święcenia kapłańskie, że w Seminarjum odbywają się pod nazwą „ćwiczeń religijnych“ wykłady teologiczne, że ks. Tarnawski zastępuje proboszcza w Siemianówce, że zawiązany we Lwowie Komitet ratunkowy robi co może, by ulżyć nędzy i klęskom, które kraj nawiedziły, że poziom religijny bardzo się podniósł, że przedostające się do miasta pogłoski są sprzeczne. Mieszkańcy Lwowa, dodawał do tego ks. Sobczak, cierpią wiele, gdyż Moskale mieszą się do wszystkiego; jednak nikt nie rozpacza, bo jedni się spodziewają, że Austrija jeszcze Galicję odzyska, a drudzy sądzą, iż ewentualne zwycięstwo Rosji wyjdzie ostatecznie na naszą korzyść.

Należało podziękować za łaskawą pamięć i Arcypasterzowi i księżom i alumnom. Toż wnet napisałem kilka listów i odesłałem je ks. Sosowi, który się do Lwowa wybierał, z prośbą, aby je tam razem z dawniejszemi wręczył adresatom.

Tak płynął dzień za dniem, a sytuacja się nie wyjaśniała. Od strony Dukli i Jaślik dolatywały nas czasami to wyraźne, to głucho echa strzałów armatnich. Po 20 kwietnia zaczęły się pokazywać częściej, niż przed-

tem, aeroplany austriackie. Jeden z nich rzucił w Rymanowie dwie bomby, które zapaliły dom, zraniły dwóch żołdatów i zabiły dwa konie rosyjskie. Od tego czasu zaczęto ostrzeliwać aeroplany, ale czyniono to bez skutku. Zresztą kozacy wypoczywali swobodnie i wesoło. W zakładzie iwonickim grywała muzyka wojskowa, a w Klimkówce koło gościńca czyniono przygotowania do wyścigów konnych i zabaw. W tem rozeszła się wieść, że nasi goście wyjeżdżają. Znowu dwa uczucia opanowały ludność: radości i obawy. Radości, że nikt nie będzie nam stale siedział na karku; obawy, że żołdactwo zacznie skądinąd do nas zajeżdżać i czynić spustoszenie. Nadto lękano się, iż odjeżdżający kozacy zażądają podwód i pozabierają resztę koni. To też niektórzy gospodarze uprowadzili swe konie do lasu.

Kozacy wyjeżdżali ku zachodowi, a wyjeżdżali z głowami zwieszonemi, smutni. I nie dziw. Przez cztery tygodnie bawili się w spokoju, a teraz wracali na pole walki, której okropności doświadczyli sami. Niektórzy oficerowie, choć przez cały miesiąc brali w wielkiej ilości nabiął i obiecywali zań dobrze zapłacić na końcu, wynieśli się, nie dawszy ani grosza. Nie lepiej spisał się mieszkający niedaleko mnie batiuszka: kiedy gospodarz prosił go o wyrównanie rachunku, odrzekł, że to uczyni jego służący; służący znowu, który wyjeżdżał za batiuszką, oświadczył, iż nie myśli płacić cudzych długów.

Nie wszyscy jednak wyjechali. Na utrapienie ludzkie zostało około stu żołdatów: usadowili się w środku wsi, a łupili po obu jej końcach, w czem pomagali im żołdaci, zajeżdżający z gmin sąsiednich i włóczący się luzem. Co więcej, 2 maja wieczorem, zapowiedzieli kwatermistrze przybycie piechoty. W rzeczy samej po północy wkroczyły do wsi dwa pułki 81 i 116. U mnie stanął puł-

łownik. Nadto wieczorem ciągnęły nieprzejrzane tłumy, jedne gościńcem z Rymanowa, drugie wprost przez pola z Wróblika, w stronę Iwonicza. Samej artylerji przesunęło się koło wsi tegoż wieczora trzydzieści sześć armat; niektóre z nich osłonięte były gałęziami, inne całemi drzewkami. Chłopi, patrząc na te ogromne masy wojsk, kiwali głowami i powtarzali pogardliwie: „A skąd się tam tyle bierze tego psiarstwa“.

Trzeci maja, dzień odpustu w parafji klimkowskiej, był jednak dniem smutnym. We wsi zgiełk, czyniony nieustannie przez kilka tysięcy żołdatów, którzy, zdrożeni i okryci kurzem, myli się w rzece i czyścili swe ubrania. Przelatujące co chwila po niebie aeroplany zdawały się zapowiadać swym przytłumionym turkotem jakieś ważne wypadki. Od przełęczy Dukielskiej i Żmigrodu dochodził huk armat, znacznie donośniejszy, aniżeli w dniach poprzednich. Nadto ze wszystkich stron odzywały się głosy karabinów, strzelających do aeroplanów. Nabożeństwo odbyło się w kościółku i kościele, przy słabym współudziale wiernych. Tam ja odprawiłem Mszę św., tu ks. proboszcz śpiewał sumę, podczas której miałem kazanie; obcych księży oczywiście nie było. Nagle o pół do dwunastej przed południem wyniosła się za resztą kozaków piechota, bo gruchnęła wieść, iż „German następuje“. Prócz tego przez cały dzień posuwało się wojsko gościńcem od Rymanowa do Iwonicza. Tegoż dnia przyjechał do ks. proboszcza i do mnie z pożegnalną wizytą dr Wojnicz, któremu kazano śpieszyć do Kołaczyc, a we dworze zjawił się pułkownik Kozłów, przysły gubernator jasielski. Kozłów chciał osobiście dowiedzieć się o szkodach, poniesionych skutkiem wojny przez dwór i wieś; przyrzekł też opiekę na przyszłość.

Tak tedy z jednej strony bliskie strzały, niebyszały

dotąd ruch aeroplanów i szybkie przesuwanie się wojsk zdawały się zapowiadać jakieś ważne zmiany, z drugiej zaś rząd rosyjski okazywał w zajętej części kraju coraz większą pewność siebie. A właśnie ta pewność siebie odbierała nam najwięcej nadzieję wyzwolenia z pod nahałki moskiewskiej, tem bardziej, że byliśmy pod nią z przerwą tygodniową od 12 listopada i że armja austriacka, mimo wszelkich wysiłków, nie mogła wyprzeć najęddzcy ani z Karpat, ani z nad Dunajca. Najsilniej stosunkowo lud prosty wierzył w oswobodzenie. Przecież Pan Bóg, taki był jego powszechny głos, do tego nie dopuści, żeby nad nami panował schizmatyk.

Przecucie ludu było słuszne. W chwili i miejscu najmniej spodziewanych zaszedł wypadek niezmiernego znaczenia. Dnia trzeciego maja zjednoczone wojska, austriackie i niemieckie (to drugie przywieziono szybko z zachodniego terenu wojny, czyli z Francji do Galicji) przełamały po zaciętych walkach, pod kierownictwem generała niemieckiego Mackensena, cały front rosyjski od granicy węgierskiej aż do ujścia Dunajca do Wisły. Skutkiem tego rozpoczął się szybki odwrót Rosjan ku wschodowi. Z tego powodu już dnia następnego usłyszeliśmy gwałtowny i bardzo wyraźny huk dział w okolicy Żmigrodu, a z pola plebańskiego widzieliśmy w tym samym kierunku dymy, świadczące o jakimś wielkim pożarze. Piątego maja kanonada osłabła; wobec tego, nie wiedząc nic o tem, co się działo o kilka mil od nas na zachodzie, przypuszczaliśmy, iż wojsko austriackie się cofnęło. Natomiast po południu doszły nas słuchy, że Rosjanom zadano wielkie straty koło Równego (za Rogami), jako wojska nieprzyjacielskie opuściły Jaśliska, jako t. zw. park wyniósł się z Iwonicza, a reszta kozaków z folwarku w Klimkówce, jako gościńcem idzie

i jedzie za Moskalami wiele rodzin rusińskich, lękając się kary ze strony Austriaków. Nadto pod wieczór i przez całą noc turkotały wozy, ciągnące z Posady Górnej do Wróblika i z Iwonicza do Rymanowa, a po wsi sнуło się wielu rozbitków, którzy całkiem wyraźnie przyznawali, iż ich wojsko poniosło porażkę.

Dnia szóstego maja ozwały się głośno armaty od Dukli i Jasła, a przedewszystkiem od Wietrzna. Niekiedy słychać było nawet strzały karabinów zwykłych i maszynowych. Patrole kozackie uwijały się w rozmaitych kierunkach; z południowej strony wysuwali się co chwila oderwani od armji żołnierze, z których niektórzy pędzili przed sobą małe stada bydła. Po południu przyglądaliśmy się z ks. proboszczem od granic pola plebańskiego, jak Klarowiec (góra Rogowska) i sąsiadujące z nim od zachodu góry okryły się dymem, a nad Klimkówką unosił się również pył ciemny, przyniesiony z dala przez lekki wiatr południowy. Równocześnie widać było pożary w Miejscu Piastowem i Krościenku.

Przez całą noc następną ustawiczna strzelanina między Równem, a Rogami spędzała nam sen z powiek. Zaledwie zaświtało, a już można było ze wzgórz widzieć, jak od strony południowej padały pociski na Miejsce Piastowe, z którego umykali Moskale ku Lężanom. Zaraz też zaczęły się ukazywać pożary gdzieś we Wrocance i jej sąsiedztwie; nadto płonęły w Krośnie: budynek, zamieniony przez Rosjan na stację kolejową, i położona w rynku kamienica z amunicją. Około ósmej z rana, wzięwszy binokle, wyszedłem na Górkę. Zastałem tam gromadkę ciekawych, śledzących pilnie przebieg walki; na innych wzgórzach stały inne grupy. Za chwilę podjechał ku nam kozak i uwiązawszy konia, stanął przy nas. Mieliśmy wrażenie, iż szuka naszego towarzystwa,

aby być mniej narażonym na niebezpieczeństwo. „Oho, mówiłem do niego, już po was! Patrzcie, jak wasi uciekają przed Germanem! Uciekajcież i wy, bo się dostaniecie do niewoli“. Kozak, chłop potężny, uśmiechnął się na to i powiedział, że ma czas uciekać. Nie stał jednak przy nas długo, bo po chwili, siadłszy na konia, czmychnął w milczeniu w stronę Rymanowa. A walka trwała tymczasem dalej. Armaty niemieckie znajdowały się koło Równego i w Targowiskach, rosyjskie w Komborni i na wschód od Zakładu dla chłopców w Miejscu. Co chwila pękały nad Miejscem szrapnele, a granaty wyrzucały w górę tumany kurzu. Słychać też było trzaskanie karabinów. Niebawem powstał od szrapnela pożar: zapalił się jakiś dom tuż koło dworu, na zachód od kościoła; za chwilę zajął się po drugiej stronie kościoła dom inny. Olbrzymie języki ognia wzięły wówczas w środek wieżę kościelną: zdawało nam się, że lada chwila stanie w ogniu świątynia. Równocześnie płonął dalej krośnieński dworzec kolejowy i zaczął się palić jakiś budynek we Wróbliku. Na tem strasznym tle przedstawiała się naszym oczom ucieczka konnicy rosyjskiej. Jeźdźcy, przerażeni pociskami, lecieli galopem wśród niesłychanego popłochu z Miejsca i Iwonicza przez pola w stronę lasu, położonego na południe od Targowisk. Niektórzy, opamiętawszy się pod lasem, nawracali ku zachodowi, aby za chwilę znowu szukać oparcia w lesie, a potem cofać się w większych gromadach w stronę Wróblika. Widzieliśmy także, jak pozbawione jeźdźców konie biegały samopas w rozmaitych kierunkach. Mniejsze grupy ciągnęły od Iwonicza po przez góry do Klimkówki, a potem do Rymanowa. O południu zjawił się przed kościołem pierwszy ułan austriacki, Polak. „Cóż, życie jeszcze? pytał wybiegających

zewszał mieszkańców? A Moskale bardzo wam się dali we znaki? My ich stąd wnet wyżeniemy". Za pierwszym nadjechali inni. Pocziwe kobiety wynosiły im, ze łzami w oczach, co która mogła, dziękując Bogu za wybawienie z niewoli moskiewskiej. Chłopcy zaś biegali na wszystkie strony, aby się przekonać, czy ułanom nie grozi jakie niebezpieczeństwo. Gdy koło cmentarza spotkali kilkunastu siedzących żołdatów, którzy tam się zatrzymali umyślnie w tym celu, aby się dać wziąć do niewoli, wnet donieśli o tem naszemu patrolowi, a za chwilę z trjumfem prowadzili ich do wsi.

Bój wre ciągle. Działa grają nie tylko na zachodzie, lecz także od strony Zakładu rymanowskiego, a padające pociski wywołują nowe pożary. Pali się Posada Dolna w kilku, a potem w kilkunastu miejscach; pali się na nowo Miejsce Piastowe tam, gdzie się krzyżują gościńce. Równocześnie widać gdzieś dalej, na lewo, wielki ogień; zajmują się także rezerwoary z ropą, umieszczone niedaleko stacji we Wróbliku i buchają czarnym jak noc dymem. Jak okiem sięgnąć, ścielą się tumany dymu i słupy płomienia. Widok straszny i wspaniały, pełen grozy i majestatu zarazem.

O godzinie trzeciej zaczęto puszczać szrapnele od dworu iwonickiego do Rymanowa ponad Klimkówkę. Pierwszy szrapnel, skierowany w tamtą stronę, zastał mnie z ks. proboszczem na Górcie; przeleciał nam z przeźliwym świstem nad głowami i eksplodował w naszych oczach przed Dolną Posadą. Ponieważ zajęte przez nas stanowisko wydało nam się niebezpiecznem, wróciliśmy do domu, słuchając co chwila przenikliwego głosu szrapneli. Dowiedzieliśmy się później, że w Rymanowie było już wówczas wojsko austriackie, że Niemcy strzelali tam tylko przez pomyłkę, powstałą stąd, iż

Austrjacy zabrali mnóstwo rosyjskich jeńców, których w Iwoniczu wzięto za wolne wojsko nieprzyjacielskie; że wreszcie kiedy się o pomyłce dowiedziano od aeroplanu, skierowano strzały w inne miejsca. W każdym razie szrapnele jęczały nad wsią do samego wieczora. Niektóre z nich padły na t. zw. Fichty i Talerze, gdzie wałęsały się jeszcze resztki Moskali. Nadto na Talerzach przyszło do strzałów karabinowych, przyczem austrjaccy żołnierze, zaskoczeni z nienacka przez rosyjskich, stracili kilkunastu zabitych i kilkudziesięciu rannych.

Przy zapadającym zmroku wkroczyło do wsi kilka tysięcy wojska niemieckiego w pikelhaubach na głowie, czując się najwidoczniej zwycięzcami, tudzież rozkładając się z początku po ogrodach i polach. Kilka oddziałów przechodziło obok mego ogrodu. Polacy, a było ich wielu, ujrawszy mnie w ogrodzie, ślali mi pozdrowienia, na co oczywiście grzecznie odpowiadałem, witając zarazem i ich i ich towarzyszy jako szczęśliwych bohaterów i oswobodzicieli. Później żołnierze zajęli kwatery po domach; część ich wyruszyła zaraz w pole do sypiania szańców na pierwszej górze od wschodu. U mnie zamieszkał ze swoim adjutantem pułkownik 46 pułku piechoty von Avent, który mi zaraz złożył wizytę. Po nim zgłosił się do mnie osobiście na mieszkanie jakiś generał niemiecki, prosząc o osobny pokój z trzema łózkami, ale mu wytłumaczyłem, że w moim domu takiego pokoju niema. Znalazł go ostatecznie u mojej siostry. Stojący po wsi kwaterą Polacy, opowiadali wieśniakom, że odbyta ostatniej nocy walka na Rogowskiej górze była zażarta. Niemcy przypuszczali trzy ataki: dwa pierwsze całkiem się nie powiodły, dopiero w trzecim udało im się wyprzeć nieprzyjaciela.

Ponieważ wojska rosyjskie nie wróciły więcej do

Klimkówki, przeto dzień siódmy maja czyli wilgę św. Stanisława biskupa i męczennika, oraz patrona Polski, uważa Klimkówka za dzień swego ostatecznego ocalenia z potopu wojennego. W tym też dniu składa nasza wioska gorącą podziękę słynącemu łaskami Panu Jezusowi w swym ukochanym kościółku za to, żeśmy podczas najazdu nieprzyjacielskiego, jakiego ojcowie nasi nigdy nie zaznali, cięższych strat nie ponieśli, ale z niezliczonych niebezpieczeństw obronną ręką wyszli.

Noc z siódmego na ósmy maja minęła spokojnie. Rano pewne oddziały wyszły na pola w stronę Rymnowa, ale niebawem wróciły. Aeroplany przełatywały od zachodu na wschód i przeciwnie: strzały armatnie odbywały się tylko od strony Krosna. O godzinie pół do dziesiątej dnia 8 maja przyszedł do mnie mój pułkownik na pożegnanie. Rozmawialiśmy o rozmaitych rzeczach, między innemi o wojnie, niepodległości Polski, nawet o religji. Od przybycia wojska niemieckiego, oto treść tego, co mówił z butą von Avent, na linję bojową w Galicji, zaczęły się dni zwycięstwa, które muszą Rosję powalić u stóp Niemiec; potem przyjdzie kolej na Francję, a w końcu na najzacieklejszą nieprzyjaciółkę, na Anglję. Niemcy dadzą sobie radę z tymi wrogami pod wodzą cesarza Wilhelma, który, jak świadczą dotychczasowe zdobycze, jest genjuszem. Polacy mogą otrzymać niepodległość tylko z rąk zwyciężskich Niemiec. Niemcy niosą kulturę i zbawienie całemu światu. Proroczce słowa Geibla, wypowiedziane przed rokiem 1870/71, mają i dzisiaj swoje znaczenie:

„Es wird an deutschem Wesen
Ein Mal noch die Welt genesen!“

On sam, Avent jest protestantem, ale szanuje katolicyzm. Zresztą różnica między obiema religjami jest zdaniem

pułkownika niewielka. Protestantyzm musiał powstać, bo nie chciano Niemców dopuszczać do tiary papieskiej!

Z tem wszystkiem był pan Avent bardzo grzeczny. Ponieważ kazał na polu obalić niektóre krzyże i kapliczki, aby utrudnić nieprzyjacielowi orientację, przeto prosił mnie, bym wytłumaczył ludziom, dlaczego się to stało. Dziękując za gościnne przyjęcie, zostawił mi kilka najświeższych gazet niemieckich, za co, nie mając dawno w rękę żadnego dziennika, byłem mu wdzięczny. Kiedy na odchodnem zapytałem pułkownika, czy jesteśmy już w Klimkówce bezpieczni, usłyszałem od niego odpowiedź, że doniesiono mu, jako Rosjanie oszańcowali się pod Rymanowem. Być tedy może, dodał, że będą strzelać z dział w stronę Klimkówki; w takim razie trzeba gdzieś szukać schronienia. Te ostatnie słowa nie mogły mnie oczywiście ucieszyć. Zaledwie wyszedł von Avent, zabrałem się do krycia rzeczy w piwnicy. Na szczęście pułkownik, spotkawszy za chwileczkę mego siostrzeńca, podzielił się z nim dopiero co otrzymaną wiadomością, że Moskale, opuściwszy szanice, dali za wygraną i wynieśli się w stronę Beska, że tedy grożące wsi niebezpieczeństwo minęło. Później dowiedzieliśmy się, że artylerja rosyjska ustawiła rzeczywiście tegoż dnia rano kilkanaście armat na górach koło rymanowskich Łazów, że jednak wnet potem, nie dawszy ani jednego strzału, opuściła tę pozycję.

Gdy wojsko wyszło ze wsi, pośpieszyłem na Górkę. Od zachodu ciągnęły gościńcem nieprzejrzone zastępy Niemców. Od Komborni i z za Haczowa, tudzież od Beska i gór za Beskiem położonych dochodził huk armat. We Wróbliku paliły się ciągle zbiorniki ropy, przyczem góra, leżąca z tej strony dworca kolejowego, przypominała zwykły wygląd Wezuwjusza, z tą różnicą,

że tam z wielkiej góry wychodzi szary obłoczek, a tu z małego wzgórza wznosił się olbrzymi słup czarnego kopcia. Po południu widok był jeszcze straszniejszy. Raz po raz wykwitwały na horyzoncie białe dymy, zapowiadające pożary w rozmaitych gminach. Tak paliły się w wielu miejscach Haczów, Trześniów i Odrzechowa; nadto dymy pożarne unosiły się szeroko nad Odrzykoniem i Korczyną. Równocześnie od Iwonicza wysuwały się ciągle nowe szeregi konnych i pieszych, oraz wozy, poczem jedne szły przez Rymanów do Beska, a drugie zbaczały przed Rymanowem w stronę Wróblika. Od czasu do czasu pochód się zatrzymywał, niekiedy na parę minut, niekiedy na godzinę, bo droga nie była jeszcze należycie utorowana. Torowały ją działa, ustawione na wzgórzach z tej strony Wróblika, przed i za Dolną Posadą i gdzieś koło Zakładu rymanowskiego. Razem z armatami grzechotały karabiny zwykłe i maszynowe w stronie Haczowa i wspomnianego Zakładu. Ludzie, którzy wracali z Rymanowa, opowiadali, że znowu moc wojska austriackiego nadpływa z Jaślik.

Byłbym niezawodnie pozostał na Górcie do samego wieczora, gdyby nie posłaniec, który przybył z wiadomością, że do mego domu zgłosiło się na kwatere kilku oficerów niemieckich. W istocie zastałem ich u siebie pięciu: domagali się koniecznie, czynił to przedewszystkiem z wielką natarczywością, a także i butą prawdziwie pruską, lekarz, dwóch pokojów jedynie dlatego, że chcieli być razem. Po długich korowodach stanęło na tem, iż u mnie zamieszkał tylko pułkownik z jednym towarzyszem. Niebawem wkroczyły do wsi piechota, konnica i artylerja niemiecka, zapełniając szczelnie wszystkie domy i wszystkie ogrody. Późnym wieczorem świeciła nam łuna od strony północnej. Dowiedzieliśmy się

później, że łuna pochodziła od pożarów w Odrzykoniu, Korczynie i Haczowie. Stamtąd też dolatywały do nas strzały karabinowe, którym niekiedy wtórowały armaty. Owszem, przez całą noc strzelano nie tylko w kierunku Haczowa, lecz także i Beska.

Dziwiącego maja, w niedzielę, podjęto znowu strzelanie, w tych samych stronach, przed godziną dziesiątą. O pierwszej po południu wyruszyła ze wsi w kierunku Rymanowa piechota, potem artylerja, a wreszcie konnica. Po południu też zaczęło ryczeć w samym Rymanowie sześć skierowanych ku wschodowi dział 20-centymetrowych, od których huku trzęsło się miasto całe. Zbiorniki ropy płonęły dalej; nadto kłęby dymu unosiły się nad Beskiem, Odrzechową i Jasionowem. Kilka rodzin przybyło z Beska do swoich krewnych w Klimkówce; opowiadały one o strasznych walkach, które się tam w samej wsi wczoraj i dzisiaj toczyły. Pod wieczór byliśmy świadkami nowego przemarszu wojsk niemieckich od Iwonicza ku Rymanowu: wśród turkotu wozów słyhać było późno w noc wesołe pieśni żołnierzy. Jakże one korzystnie odbijały od monotonnych śpiewek żołdatów.

Nazajutrz, po otrzymanych w nocy posiłkach, Moskałe, ustawivszy działa koło drogi między Zarszynem a Odrzechową, tudzież na wzgórzach zarszyńskich, bronili się zaciekle, lecz po południu musieli się cofnąć. Wśród huku strzałów paliły się prócz Beska: Jaćmierz, Zarszyn, Posada Zarszyńska i Długie.

W następnych dniach strzały odsuwały się coraz dalej ku wschodowi, a w końcu ucichły. Wojsko od czasu do czasu przechodziło jeszcze, ale nie zatrzymywało się we wsi, tylko wozy stawiały często koło gościńca na łąkach, pod Rymanowem. Przychodziły też wieści, które nam donosiły o olbrzymich szkodach i stratach

naszych bliższych i dalszych sąsiadów. Z wieści tych okazywało się, że nasze szkody i straty są stosunkowo małe. W naszej wiosce kule ani nikogo nie zabiły, ani nie zraniły; podobnie żaden dom nie został ani spalony, ani rozbity. Jakżeż inaczej było w gminach sąsiednich.

Niektóre znaki kilkudniowej walki mogłem tam już wówczas oglądać na własne oczy. Tu należą przede wszystkim liczne ślady granatów i szrapneli na kościele w Rymanowie, tudzież ślady szrapneli na tamtejszej plebanji. Podobnie na kościele iwonickim widziałem wiele otworów po kulach karabinowych, a w kaplicy Matki Boskiej Bolesnej tegoż kościoła dużą dziurę, wyżłobioną przez szrapnel, który przebił ścianę, ale nie eksplodował.

Po kilku dniach ciszy dały się znowu słyszeć działa od strony północnej. Tak było 14, a potem 16 i 20 maja. Skutkiem tego zaczęliśmy się lękać, czy wojska sprzymierzone nie zaczynają się cofać przed Moskalami. Nadto niepokoiły nas mocno dwie inne rzeczy. Najpierw kłócące się z sobą pogłoski o Przemyślu, z których jedna mówiła, że ta forteca już odebrana Rosjanom, a druga równocześnie temu przeczyła. Powtórę coraz częściej powtarzano, iż Włochy, tworzące dotąd z Austrią i Niemcami trójsprzymierze, wystąpiły przeciw sprzymierzeńcom, czemu znowu inne wieści kłam zadawały. Tego zaś wszystkiego nie mogliśmy przez dłuższy czas sprawdzić, bo nie otrzymywaliśmy żadnych dzienników.

Najwcześniej stosunkowo, bo ostatniego maja, dowiedzieliśmy się z gazet, iż przed tygodniem Włochy rzeczywiście wydały wojnę Austrii. Choć gazety niemal lekceważyły nowego nieprzyjaciela, byliśmy tą nowiną zasmuceni, tem bardziej, że niebezpieczeństwo cofania się w Galicji wojsk sprzymierzonych zdawało się ciągle wisieć nad nami. Państwo Stawiarscy z Jedlicza, przy-

bywszy do Klimkówki na pogrzeb pana Ostaszewskiego, który umarł po kilkoletniej chorobie, opowiadali, że jakiś lekarz wojskowy, bawiący obecnie na Węgrzech, nazwiska nie chcieli wymienić, przysłał w ostatnich dniach swoim znajomym w Galicji list z radą, aby bez zwłoki wyjeżdżali z kraju. Opowiadanie to nabrało jeszcze większego prawdopodobieństwa, gdyśmy dnia następnego usłyszeli w kierunku Przemyśla silny huk armat.

Ale Bóg nas niespodzianie pocieszył. Nazajutrz, dnia 3 czerwca, wypadła uroczystość Bożego Ciała. Czas był cudny. Wspaniała procesja, której asystowały ubrane w białe sukienki dziewczątka i straż pożarna, odbyła się do czterech ołtarzy: jeden urządzono przy szkole, drugi przy budynku gminnym, trzeci przy sklepiu Kółka rolniczego, czwarty przy plebanji. Niedługo po procesji przyniósł ktoś z Rymanowa wiadomość, że Przemyśl odebrany, że w mieście wywieszono z tego powodu chorągwie. Chcąc sprawdzić tę wesołą wiadomość, wybraliśmy się z ks. proboszczem po niesporach do Rymanowa. Tam na poczcie powiedziano nam, że istotnie nadeszła telefonem wieść, iż wojska sprzymierzone wzięły Przemyśl szturmem dzisiaj, o godzinie trzeciej po północy. Jakżeż wielka była wówczas nasza radość! Nie wiedzieliśmy, czy oblegane miasto nie uległo zburzeniu lub nie padło ofiarą rabunku, a jednak cieszyliśmy się, że odzyskaliśmy ten niezmiernie ważny punkt strategiczny, co przynosiło nam nadzieję nowych zwycięstw.

Nie brakło nam jednak w tym czasie i nowych przykrości. Już w drugiej połowie maja rozpoczęły się po wsi rewizje, czynione przez austriackich żandarmów i żołnierzy, nie znających najczęściej polskiego języka. Odbierano nie tylko broń i amunicję, które w wielkiej ilości pozostały po Rosjanach, które zresztą lud chętnie

oddawał, lecz wszystko, co kto najprawniej nabył od jakiegokolwiek żołnierzy. Tak np. w zimie wielu kupowało obuwie u żołdatów, bo u kogo innego nawet nie można było kupić. Kiedy znowu z początkiem maja nadeszło pruskie wojsko i otrzymało nowe trzewiki, wówczas oficerowie pozwolili ludności zabrać pewną ilość trzewików starych. Podobnie niektórzy wieśniacy nabyli od kozaków konie kulawe lub chore; tak samo sprzedawali konie, nawet lepsze, oficerowie rosyjscy. Otóż teraz to wszystko trzeba było oddać rządowi austriackiemu za darmo jakby rzecz kradzioną. Bywało, że żandarmi ściągali chłopom w Rymanowie na rynku buty lub pantalone, a potem bez butów lub pantalonów puszczali ich do domu. Jakiś żandarm zabrał w pewnym domu buty tylko dlatego, że były nowe. Kiedy nazajutrz matka właściciela butów udała się do Komendy żandarmerji z zażaleniem, zobaczyła buty syna na nogach owego żandarma. Co więcej, zdarzało się nawet, iż żandarmi kazali kobietom oddawać nowe chustki. Szczególna bowiem logika mówiła austriackim żandarmom, iż takie chustki muszą pochodzić z łupu moskiewskich żołnierzy. Kiedy starosta i marszałek objeżdżali z początkiem czerwca powiat sanocki, aby się przekonać naocznie o szkodach, wyrządzonych przez wojnę, miałem sposobność przedstawić im tę niewłaściwość postępowania żandarmów, ale starosta W. nie chciał tak dalece tego słuchać, że podczas mego przedstawienia wyszedł do drugiego pokoju. Którzy starostę znali lepiej, powiedzieli mi, że on myśli tylko o tem, kiedy mu się kończą lata służby i w jaki sposób można jak najprędzej dojść do orderu.

Smutno też było we wsi, kiedy skutkiem zarządzonej stawki pospolitaków, urodzonych w latach od 1873 do 1896, więto do wojska dnia 12 czerwca około 50

mężczyzn i odesłano ich z Sanoka na Węgry lub do Krakowa. Podobnie stało się pod sam koniec tegoż miesiąca, gdy powołano do stawki chłopców, urodzonych w r. 1897; oddano ich wówczas dziesięciu.

Wśród tego nastawał dawny sposób życia nie tylko na wsi, ale i po miastach. Do spalonego Rymanowa zaczęli wracać wozami, ruch kolejowy był po naprawieniu mostów z początku dla osób cywilnych całkiem zamknięty, a potem przez długi czas ograniczony, najpierw żydzi. Przywozili z sobą z Węgier nie chleb, nie mąkę, kaszę lub inne artykuły żywności, których nam bardzo brakowało, lecz całe beczki wódki i wina. Za żydami, którzy od razu rzucili się do handlu, wracali najczęściej koleją, właściciele dworów, urzędnicy i wogóle t. zw. inteligencja. Przez długi jednak czas powrót kobiet i dzieci był zakazany. Uchodźcy znajdowali swe domy spalone albo zburzone albo doszczętnie zrabowane.

Dzienniki podawały liczne korespondencje z okolic oswobodzonych. Korespondencje te świadczyły o strasznej zniszczeniu nie tylko miejscowości, które się znalazły na linii bojowej, lecz także, choć w mniejszym stopniu, tych, przez które przeszło wojsko nieprzyjacielskie. Czytaliśmy przytem pochwały, oddawane duchowieństwu. Głosy zaufania i wdzięczności dla księży, pisał np. Czas w numerze 322, słyszy się zewsząd. I nic dziwnego. Ksiądz był jedynym z inteligencji, co swęgo posterunku nie opuścił. Natomiast często powtarzały się skargi na lekarzy, którzy nawet po wypędzeniu Moskali nie chcieli na swe stanowiska wracać, a którzy byli tam tem potrzebniejsi, że w kraju zjawiały się choroby zakaźne, jak cholera, dezenterja, tyfus brzuszny i płamisty, ospa.

Wojna trwała w kraju dalej. Przez odzyskanie Prze-

myśla armja sprzymierzonych wbiła klin na linii środkowego Saņu w armję nieprzyjacielską, która jednak broniła się zaciekle w odcinku między Wisłą a Sanem, tudzież wzdłuż Dniestru i Prutu. W dniach 6, 13, 14, 15, i 16 czerwca słyszeliśmy wyraźny huk dział od północy. Chodziły też wówczas słuchy, o czym oczywiście milczały dzienniki, że Moskale chcą się wdrzeć do Galicji w kierunku Rzeszowa. To też, gdy 15 czerwca przyjechało od Sanoka do Rymanowa mnóstwo wozów wojсковych i zatrzymało się na nocny postój pod miastem, zrozumiały strach obleciał wszystkich; sądziliśmy, że to zapowiedź odwrotu wojsk sprzymierzonych. Wnet jednak okazała się, na szczęście nasze, mylność tego przypuszczenia.

Armja sprzymierzona posuwała się za ustępującym ciągle nieprzyjacielem, który, po przełamaniu swego frontu między Sieniawą a Mościskami, zatrzymał się na linii obronnej, ciągnącej się od Rawy Ruskiej przez Janów i Gródek do Dniestru. Atoli pod Magierowem i Gródkiem poniósł nową klęskę 19 i 20 czerwca. Zajęcie Lwowa było wówczas kwestją krótkiego czasu. W rzeczy samej dnia 23 czerwca przyszedł telegram, donoszący o oswobodzeniu Lwowa¹. Cieszyliśmy się wówczas może jeszcze więcej, aniżeli po odzyskaniu Przemyśla. Więc Lwów, po niewoli blisko dziesięciomiesięcznej, znowu wolny, znowu nasz. Więc uratowana polskość tego miasta, polskość jego zarządu, jego uniwersytetu i rozlicznych instytucyj, uratowana polskość Galicji wschodniej. Na nic się nie przydały wszystkie zakusy nacjonalizmu rosyjskiego, który chciał przynieść „wyswobodzenie ujarzmionej Rusi podkarpackiej“, na

¹ W istocie rosyjska okupacja miasta skończyła się 22 czerwca. Tegoż dnia wkroczyły do Lwowa wojska austriackie.

nic tysiące szpiegów, którzy w latach ostatnich zalali nasz kraj, na nic setki tysięcy rubli, danych na agitację, na nic miljonowa armja, której znaczna część znalazła straszną śmierć w Galicji, na nic praca schizmatyckich popów, którzy pod wodzą archiepiskopa Eulogjusza przyszli tutaj, aby zadać cios śmiertelny unji¹, na nic „uświęcenie zaboru wschodniej Galicji“ przez uroczysty po niej objazd samego cara Mikołaja, który dnia 22 kwietnia miał z balkonu lwowskiego Namiestnictwa mowę o jedynej Rusi świętej.

W kilka dni po odzyskaniu Lwowa, doniosły nam dzienniki, że do stolicy kraju weszły pierwsze, po zwyciężonych walkach, wojska austriackie, a mianowicie druga armja pod dowództwem generała Böhm-Ermollego, że, z wyjątkiem zabudowań kolejowych, gmachu głównej poczty i koszar przy ulicy Jabłonowskich, które spłonęły, miasto jest nienaruszone, że zbiory artystyczne i archiwa, a w szczególności także Biblioteka Ossolińskich są nietknięte, że jednak Rosjanie, ustępując ze Lwowa, wywieźli wiceprezydenta miasta dra Rutowskiego, tudzież wielu innych obywateli, że motłoch uliczny, korzystając z powszechnego zamieszania, obrał sobie pałac przy dworcu kolejowym i wiele sklepów, że wreszcie przy ostatnim starciu się tylnych straży rosyjskich z patrolami austriackimi zginęło na ulicy Łyczakowskiej sześć osób cywilnych. Chociaż te ostatnie wiadomości były przykre, wszelako w ogóle Lwów znajdował się w stanie lepszym, aniżeliśmy się spodziewali. Jakoż powszechne było przekonanie, że jeżeli Rosjanie podczas obecnej wojny będą zmuszeni opuścić stolicę Galicji, to zamienia ją przedtem w ruiny i zgłiszczą.

¹ W Galicji urządzono prowizorycznie około 300 parafii prawosławnych.

Po zdobyciu Lwowa zdawało się, że nieprzyjacieli wyniesie się zaraz z reszty kraju. Atoli wojska rosyjskie nie tylko stawiały dalej zacięty opór nad Dniestrem, gdzie dowodził niemi Brusilow, lecz utworzyły nową linię obronną niedaleko za Lwowem, a potem stanęły nad Bugiem i Gniłą Lipą. Toż długo jeszcze słyszeliśmy w Klimkówce grzmoty dział od strony wschodniej.

Pod koniec czerwca wybrałem się wózkami do Zarszyna, by się przypatrzeć śladom majowej bitwy. Folwark dworski w Rymanowie przedstawiał, wraz z otaczającymi go domami, smutny widok. Po obu stronach gościńca z Rymanowa do Beska pełno wyrw od granatów, śladów po baterjach, grobów z krzyżykami, a przede wszystkim, jak daleko okiem sięgnąć, rowów strzeleckich. W Besku plebanja ruska wraz z zabudowaniami gospodarskimi spalona, po przeciwnej stronie kilka domów również spalonych lub rozebranych; na Wisłoku, w miejscu dawnego mostu, inny most drewniany, ale słaby; nieco niżej most żelazny, w środku słupami drewnianymi podparty, a dalej z drugiej strony rzeki zgłiszcza lub ruiny kilku domów. Za Beskiem znowu niezliczone wyrwy, groby, szance, tudzież sterczące samotnie wśród ogorzałych drzew kominy przysiółka beskiego, Zapowiedzi. Zdale widnieje spalony Zarszyn. Dach pięknego kościoła tamtejszego między wieżą a sygnaturą rozbity wieża tuż przy ziemi od zachodu uszkodzona, ściana zachodnia nawy bocznej granatem przedziurawiona, wszystkie okna z ramami wyrwane. Na pogorzeliśkach widać snujących się ludzi, którzy wychodzą gotować żywność na pozostałych kuchniach. Tu i ówdzie na pogorzeliśku albo obok niego rysuje się sylwetka niedokończonego baraku. Choć od dnia krytycznego minęło siedm tygodni, nikt nie zabrał się

do budowy nowego domu, bo do tego brak środków i ludzi; rozpoczęto tylko robotę ciesielską przy kościele. Stoję przed miłą mi zawsze plebanją zarszyńską. Jej dach w dwóch miejscach pociskami rozdarty, otwory okien, w których niema szyb, dywanikami i kocami pozastłaniane. Gościnny proboszcz ks. Laskoś przyjmuje mnie serdecznie i opowiada szczegółowo o strasznym dla Zarszyna dniu 10 maja. Prowadzi mnie także do kościoła. Widok jego wnętrza, choć ono już nieco uporządkowane, jest wprost przerażający: sklepienie nawy środkowej i tylnych części obu naw bocznych zniszczone, niektóre filary kamienne znacznie nadwyreżone, tynk w wielu miejscach od ścian, w których zresztą pełno dziur od odłamków pociskowych, odbity, wszystkie trzy ołtarze, organy, ambona, ławki i konfesjonały w całości albo w przeważnej części na kawałki potrzaskane. Całe zostały tylko zakrystja i skarbiec, w którym urządzono tymczasowy ołtarz. Zaprawdę, dawne zagony tatarskie nie zostawiały za sobą tak strasznych spustoszeń.

Wracając do Klimkówki, wstąpiłem w Besku do ks. proboszcza Knapa, by go odwiedzić i zobaczyć tę część wsi, która najwięcej ucierpiała. Dom mieszkalny proboszcza ocalał; natomiast spłonęły wszystkie jego zabudowania gospodarskie wraz z całym inwentarzem. Nadto sąsiedztwo plebanji zgorzało do szczytu. Przez wieś, tuż koło brzegu rzeki od strony wschodniej, widać było jeszcze wówczas głębokie rowy strzeleckie. Wiele domów nosiło na sobie wyraźne ślady pocisków; przede wszystkim szkoła i budynek gminny miały okna i ściany od strony rzeki posiekane kulami. W ogrodach było pełno mogił, na których tu i ówdzie widniały potężne „papachy“ (czapki skórzane) kozackie lub pruskie

pikelhauby; na samym dworskim ogrodzie pogrzebano przeszło 180 żołnierzy.

W dwa dni po mojej wycieczce odwiedził mnie niespodzianie, w przejeździe do Zakopanego, dobry mój przyjaciel ks. Gorczyca, senjor ks. wikarych w Przemyślu. Razem z wielu innymi księżmi przebył on oba oblężenia tej twierdzy. Dlatego też miał co opowiadać i o drożyznie, która tam panowała w lutym i marcu (jajo np. kosztowało 1'40 k., a kura 30 koron), i o głodzie, który tak dalece dokuczał naszym żołnierzom, że wielu z nich zabijało na jedzenie psy i koty, i o pociskach, które w pewnych czasach dochodziły do miasta na postrach jego mieszkańców, i o zachowaniu się w zdobytej twierdzy Moskali, którzy obrabowali wiele domów, zwłaszcza opuszczonych przez właścicieli. Z wszystkiego jednak okazało się, że w ogóle położenie tych, którzy się znajdowali w twierdzy, było, nawet po jej upadku, znośniejsze od naszego: nie mieli zmieniających się co chwila kwater i nie byli w tym stopniu, jak my, ani napadani i łupieni, ani narażani na przykrości i niebezpieczeństwa.

W pierwszej połowie lipca jeździłem z ks. proboszczem Wolskim na dwa odpusty: do Miejsca Piastowego i do Targowisk. Odpust w Miejscu był po jedenastu miesiącach pierwszy w okolicy, na który przybyła większa ilość księży. To też witano się tam serdecznie i opowiadano wzajem o doznanych stratach i cierpieniach. Gospodarz ks. Sobczak pokazywał gościom dziurę, którą wybił granat w południowej ścianie plebanji podczas majowej walki. Na odpust w Targowiskach przybyli z Korczyny ks. proboszcz Kłeczek i ks. wikary Rozmarynowski. Obu, wraz z ks. profesorem Szmydem, ks. katechetą Koszałką i kilku klerykami, uprowadzili

z sobą, bez najmniejszego powodu, Moskale dnia 7 maja. Wśród drogi, odbywanej pieszo, wykupił się z niewoli ks. Koszałka; wszystkich innych pędzono aż do Lubaczowa, gdzie jakiś oficer, Polak, ulitował się nad nimi i puścił ich na wolność.

Czternastego lipca otrzymałem pocztą pierwsze, po jego oswojeniu, listy ze Lwowa. Były to listy ks. Zajchowskiego, Gerstmann, Weredyńskiego, Warszylewicza i Lisowskiego, pisane w odpowiedzi na moje listy kwietniowe. Z listów tych wysłanych ze Lwowa przed 10 dniami, a cenzurowanych przez wojskowość aż w Nowym Sączu, dowiedziałem się, że ks. arcybiskup Bilczewski trzyma się doskonale, że w Seminarjum odbyły się niedawno egzamina, że dwunastu alumnów przyjęło święcenia kapłańskie, że ks. Puchalski przeżył szczęśliwie bitwę przed kilku dniami (27 czerwca) w Wyżnianach, schroniwszy się z wikarym i garstką parafian do piwnicy pod tamtejszym kościołem. List ks. Zajchowskiego zawierał w sobie wiele trafnych uwag, dotyczących położenia politycznego.

W kilka dni potem przybył do mnie jeden z nowo-wyświęconych alumnów lwowskich, ks. Pelczarski rodem z Korczyny, przywożąc mi list ks. arcybiskupa Bilczewskiego. Była to także odpowiedź na mój list, w kwietniu napisany, przyczem ks. arcybiskup donosił mi o Seminarjum i radził pozostać jeszcze w Klimkówce. Rwałem się do Lwowa, ale musiałem się zastosować do tej rady, bo chociaż starostwo sanockie udzieliło mi legitymacji na podróż kolejową do Lwowa, jednak tamtejsza komenda etapowa teje legitymacji jako przedwczesnej nie zatwierdziła.

Nie mogąc jechać do Lwowa, jeździłem po okolicy. Zwiedziłem np. Klarowiec czyli Rogowską górę, która jeszcze wówczas nosiła na sobie ślady majowej walki.

Mówiły o niej przedewszystkiem zbiorowe groby żołnierzy niemieckich i rosyjskich, ciągnące się po obu stronach gościńca od Rogów do Równego. Groby niemieckie były okryte świeżemi wieńcami i kwiatami, które, jak nam opowiadano, zmieniała dość często austriacka żandarmerja. Nawet na ogrodzie proboszcza rówieńskiego pochowano przeszło 20 żołnierzy. Klarowiec zdawał się jeszcze dymić oparami krwi świeżej.

Tymczasem rozpetana pożoga wojenna nie ustawała ani na chwilę. W miesiąc po zajęciu Lwowa Rosjanie byli jeszcze we wschodniej Galicji i na Bukowinie, broniąc się zapalczywie. Podobnie pod Kraśnikiem stawili gwałtowny opór armji arcyksięcia Józefa Ferdynanda, a nawet przeszli na chwilę do kontrofensywy. Stamtąd też, jak się zdaje, dochodziły nas wyraźne strzały armatnie, przedewszystkiem od 15 do 18, oraz od 21 do ostatniego lipca. Wszelako w ogóle wojska niemieckie i austriackie posuwały się na froncie, wynoszącym przeszło 1200 kilometrów długości, bo sięgającym od Kurlandji aż po Bukowinę, naprzód. W szczególności stawało się rzeczą coraz jaśniejszą, że sprzymierzeni chcą osaczyć Warszawę. Hindenburg doszedł od północy do samej Narwi, od południa zaś arcyksiążę Józef Ferdynand i Mackensen staneli tuż przed Lublinem i Chełmem, a Woysch posunął się znacznie na lewym brzegu Wisły w kierunku Dębłina. Ostatniego lipca przyszła wiadomość o zajęciu Lublina.

Tak stały sprawy, gdy 2 sierpnia 1915 r. wyjeżdżałem do Lwowa. Na samem odjeździe wpadła mi w rękę potężna i wiekopomna odezwa Papieża Benedykta XV, do ludów, prowadzących wojnę. Brzmiała ona w polskiem tłumaczeniu „Czasu“ w następujący sposób:

Do prowadzących obecnie wojnę ludów i ich zwierzchników!

Kiedyśmy bez naszej zasługi powołani zostali do objęcia na tronie apostołskim następstwa po nadzwyczaj łagodnym Papieżu Piusie X, którego święty i pełen dobrych uczynków żywot ukróciła boleść z powodu wybuchłej w Europie bratobójczej walki, odczuwaliśmy również, na widok krwawych pól bitew, boleść ojca, który patrzy na szalejącą burzę, niszczącą jego dom. A wspominając o nie dającej się wysłowić boleści naszych młodych synów, którzy tysiącami padają, serce nasze, przejęte miłością Chrystusa, przepełniło się boleścią matek przedwcześnie owdowiałych i narzeczonych, jako też nie dającą się pocieszyć rozpaczą dzieci, przedwcześnie opieki ojcowskiej pozbawionych. Z naszego współczucia dla rozlicznych rodzin i z naszego pojmowania obowiązków, z przypadającej nam w tak tragicznym czasie szczególnie wzniosłej misji pokoju i miłości, wyłoniło się u nas niebawem silne postanowienie poświęcenia całej naszej czynności i wszystkich naszych sił dla pojednania walczących ludów. To ślubowaliśmy także uroczyście Zbawicielowi, który za cenę krwi Swej chciał zbawić wszystkich braci. A i pierwsze słowa, któreśmy jako najwyższy duszpasterz wystosowali do narodów i ich kierowników, tchnęły pokojem i miłością. Atoli nasza pełna miłości usilna rada, jako ojca i przyjaciela, pozostała niewysłuchana. To wzmoгло jeszcze boleść naszą, lecz nie osłabiło zamiaru. Zwracaliśmy się przeto bez ustanku w wierze do Wszechmocnego, w którego rękę spoczywa duch i serce zarówno poddanych jak i królów, i błagaliśmy Go o koniec strasznej rzezi. W naszych usilnych i pełnych pokory modłach poleciliśmy wziąć udział wszystkim wiernym, i aby podnieść sku-

tecność modłów, staraliśmy się o to, by im towarzyszyły dzieła chrześcijańskiej pokuty.

Dzisiaj jednak, w dzień smutnej rocznicy wybuchu strasznego konfliktu, z serca naszego płynie jeszcze goręcej życzenie, by wojna się skończyła, a okrzyk ojcowski jeszcze głośniej się rozlega. Oby ten okrzyk przygłuszył straszny łoskot broni, dotarł do ludów i ich zwierzchników, którzy obecnie wojnę toczą, i nakłonił ich do łagodniejszego i bardziej przedmiotowego sposobu myślenia.

W świętem Imieniu Boga naszego, niebieskiego Ojca i Pana, w imieniu błogosławionej krwi Jezusa, która stanowiła cenę zbawienia ludzkości, zaklinamy Was, którzyście przez Opatrzność Bożą ustanowieni zostali do rządzenia narodami, prowadzącemi wojnę, byście ostatecznie kres położyli temu straszному mordowaniu, hańbiącemu już od roku Europę. Krew, przelewana na lądzie i morzu, to krew braterska; najpiękniejsze okolice Europy, tego ogrodu światowego, zasiane są trupami i ruinami. Tam, gdzie do niedawna warsztaty i praca w polu usilnie stwarzały wartości owocodajne, rozbrzmiewają obecnie przeraźliwe działa, które po wioskach i miastach szerzą zniszczenie i śmierć. Przed Bogiem i ludźmi ponosicie straszną odpowiedzialność za pokój i wojnę. Wysłuchajcie naszej prośby, słuchajcie ojcowskiego głosu Namiestnika wiecznego i najwyższego Sędziego, gdyż Jemu będziecie musieli zdać rachunek zarówno z działalności publicznej, jak i za wasze czyny prywatne. Niezmierne bogactwa, któremi Bóg Stworzyciel obdarzył podległe. Wam kraje, pozwalają Wam niezawodnie na dalsze jeszcze prowadzenie walki, ale za jaką cenę? Na to niechaj odpowiedzą te tysiące młodych istnień ludzkich, które dzień po dniu giną na polach walk, niechaj odpowiedzą ruiny mnóstwa

miast i wsi, jako też ruiny pomników, stworzonych przez tyłu przodków bogobojnych i genialnych. Czyż te gorzkie łzy, przelewane w cichych komnatach albo u stóp ołtarzy, nie powtarzają także, że cena codziennych walk jest wielką. Niech nikt nie mówi, iż niesłychany konflikt nie dał się zażegnać bez siły zbrojnej. Póniechajcie zamiaru wzajemnego niszczenia się, wspomnijcie, że narody nie umierają. Jeżeli narody są poniżane i prześladowane, wtenczas, drżąc znoszą nałożone im jarzmo i przygotowują się do wyswobodzenia, przekazując z generacji na generację smutny spadek nienawiści i chęć zemsty. Dlaczego więc niema się już obecnie obiektywnie i sumiennie rozważyć praw i sprawiedliwych aspiracji ludów? Dlaczego nie rozpocząć ochotnie, bezpośrednio lub pośrednio, wymiany zdań, aby wedle możliwości zadośćuczynić tym prawom i aspiracjom, a w ten sposób dojść do położenia kresu tej strasznej walce, jak to w podobnych okolicznościach już się działo.

Błogosławiony niechaj będzie ten, który pierwszy podniesie różdżkę oliwną i poda nieprzyjacielowi prawicę, proponując rozumne warunki pokojowe. Równowaga świata, owocny i pełny pokój narodów zasadza się o wiele więcej na wzajemnej przychylności i poszanowaniu prawa, oraz godności drugiego, niż na ilości uzbrojonych i na strasznych twierdzach. Oto okrzyk pokojowy, który w tym smutnym dniu o wiele silniej rozlega się z duszy naszej. Zapraszam wszystkich na świecie przyjaciół pokoju, aby podali nam rękę, celem przyspieszenia końca wojny, która obecnie już od roku przemienia Europę w wielkie pole bitwy. Oby Jezus miłosierny, za pośrednictwem Swej bolesnej Matki, zesłał

ostatecznie po tak strasznej burzy łagodny i promienisty poranek pokoju, odbicie Jego Boskiego Oblicza. Oby niebawem rozległy się hymny dziękczynne do Dawcy wszelkich dóbr za dokonanie pojednania państw, oby ludy zbratane w miłości powróciły do pokojowego współzawodnictwa na polu nauk, sztuki i przemysłu. A gdy znowu prawa zostaną przywrócone, niechaj się zdecydują na przyszłość nie oddawać rozwiązania swych sporów ostrzu miecza, lecz spokojnemu i umiarkowanemu zbadaniu słuszności i sprawiedliwości. To będzie najpiękniejsza, najślawniejsza zdobycz.

W pełnem miłości przekonaniu, że świat wnet cieszyć się będzie z drzewa pokojowego, przynoszącego tak pożądane owoce, udzielamy błogosławieństwa wszystkim, należącym do poruczonej naszej pieczy owczarni, i prosimy Pana, aby węzłami czynów pełnych miłości połączył z nami także tych, którzy nie należą do Kościoła rzymskiego.

Rzym. Z Watykanu, 28 lipca 1915. Podpisany Benedykt XV.

WYKAZ NAZW OSÓB I MIEJSCOWOŚCI

(Liczby oznaczają strony)

A.

Anglja 6, 89
 Aufenberg, generał austriacki,
 13, 14
 Austrja, Austriacy 3, 7, 10, 12,
 15, 28, 36, 45, 46, 47, 48, 50,
 52, 53, 55, 59, 60, 62, 64, 65,
 68, 69, 70, 71, 75, 76, 80, 81,
 85, 88, 93, 97, 98, 103
 Avent, von, pułkownik nie-
 miecki 88, 89, 90

B.

Balicki, ks., profesor Semina-
 rjum duchownego w Prze-
 myślu 3, 4, 7, 8, 9, 11, 12,
 30 45, 52, 80
 Baligród 60
 Bartoszków 68
 Barwinek 80
 Bażanówka 59
 Belgja 6
 Benedykt XV papież 103, 107
 Besko 48, 50, 58, 65, 66, 90,
 91, 92, 99, 100
 Biała 24, 28
 Biecz 26
 Bielecki, dr., lekarz w Ryma-
 nowie 7, 8
 Biezdźdza 14

Bilezewski Józef, ks., arcybi-
 skup, metropolita lwowski
 obrz. łac. 1, 11, 76, 81, 102
 Bircza 6
 Blizne 66
 Bocian, ks., rektor Semina-
 rjum duchownego ruskiego
 we Lwowie 3
 Bode baron, pułkownik rosyj-
 ski 61, 63, 74
 Bośnia 47
 Böhm-Ermolli, generał au-
 striacki 98
 Brusilów, generał rosyjski 99
 Brzozów 66
 Buczer, przemysłowiec w No-
 wym Sączu 23, 24
 Bug, rzeka 99
 Bukowina 103

C.

Chelm 103
 Chęciński, ksiądz, katecheta
 w Grybowie 21, 22, 23
 Chmielnicki Bohdan 73
 Chorim 80
 Chyrów 3, 36
 Czarnogóra 6
 Czesi 68
 Czortków 5, 11

D.

Dęblin 103
 Długie 92
 Dniestr 97, 99
 Dolna Posada patrz Posada
 Drohobycz 80
 Dukla 19, 40, 41, 46, 64, 66,
 68, 81, 83, 85
 Dunajec 18, 84

E.

Eulogjusz, arcybiskop prawosławny 98
 Europa 6, 104, 105, 106

F.

Feliński, ks. arcybiskup warszawski 25
 Fichty 60, 88
 Franciszek Ferdynand, arcyksiążę austriacki 3
 Franciszek Józef I, cesarz 47, 75
 Francja 6, 71, 84, 89

G.

Gabrył, ks., profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego 55
 Gadowski, ks., z Tarnowa 22
 Galicja 7, 10, 16, 25, 29, 46, 47, 69, 71, 76, 78, 81, 84, 89, 93, 94, 97, 98, 103
 Geibel 89
 Gerstmann Adam, ks., profesor Uniwersytetu lwowskiego, 2, 81, 102
 Gniła Lipa z. Lipa
 Gorajowice 14

Gorczyca, ks., senior wikarych w Przemyślu 101

Gorlice 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 24, 26, 30, 36, 45, 46, 51, 52, 60, 80

Góra Kamienna z. Kamienna

Góra Łysa z. Łysa

Góra Rogowska z. Klarowiec

Górka, ks., profesor Seminarjum duchownego w Tarnowie 26

Górka 48, 85, 87, 90, 91

Górna Posada z. Posada

Górski, starszy radca sądowy, w Jaśle 14

Grabie 16

Grabski Stanisław, profesor Uniwersytetu lwowskiego 70

Gródek 10, 27, 97

Grunwald 26

Grybów 16, 20, 21, 23, 24, 25

G., generał rosyjski 71, 72, 73, 74, 75, 76, 77, 79, 81

H.

Haczów 49, 50, 90, 91, 92

Hański, ks., proboszcz w Harkłowej 28

Harkłowa 28

Herzogowina 47

Hetzendorf Konrad, von 23

Hindenburg, generał niemiecki 103

Hlebiaków, porucznik rosyjski 27

Hohenberg Zofja, księżna 3

Homonna 42

Hryniewicki, ks., biskup wileński 25

I.

Iwonicz 11, 27, 28, 39, 42, 46,
47, 48, 49, 52, 55, 62, 63, 67,
69, 79, 80, 82, 83, 84, 85, 86,
88, 91, 92, 93

J.

Jaćmierz 59, 92
Jałowy, ks., katecheta w Rze-
szowie 24
Janicki, ks., proboszcz w Je-
dliczu 67
Janota, dr., adwokat w Ryma-
nowie 7
Janów 97
Jarosław 24
Jasionów 82
Jasło 13, 14, 26, 50, 60, 68,
83, 85
Jaśliska 27, 41, 46, 59, 64, 68,
81, 84, 91
Jedlicz 67, 93
Jodłowa 13, 14
Józef Ferdynand, arcyksiążę
austriacki 103

K.

Kalwarja 48
Kamienica, wieś 26
Kamienna Góra 50, 52
Karpaty 59, 62, 69, 84
Keller, generał rosyjski 59
Klarowiec zob. Rogowska góra
Kleczek, ks., proboszcz w Kor-
czynie 101
Klimkówka 1, 3, 4, 5, 7, 8, 9,
10, 12, 17, 19, 25, 26, 27, 28,
29, 30, 32, 38, 39, 40, 41, 45,
46, 47, 50, 52, 53, 54, 55, 56,
63, 64, 68, 69, 76, 77, 79, 82,

84, 85, 86, 87, 89, 90, 92, 94,
99, 100, 102
Kmach Franciszek 23, 24, 25
Knap, ks., proboszcz w Besku
58, 100
Koleński, ks., proboszcz
w Krośnie 49
Kołaczyce 83
Kombornia 50, 86, 90
Korczyna 26, 49, 82, 91, 101,
102
Koszałka, ks. katecheta w Kor-
czynie 26, 101, 102
Kozłów, pułkownik rosyjski,
gubernator jasielski 83
Kraków 17, 18, 26, 42, 59, 96
Krasiński, ks., biskup wileń-
ski 25
Kraśnik 10, 103
Krosno 4, 13, 14, 26, 49, 50,
57, 60, 64, 65, 68, 85, 86, 89
Krościenko 85
Królestwo Polskie 71
Królik 66
Krupp, fabryka armat 47
Kurlandja 103

L.

Ladzin 31
Laskoś, ks., proboszcz w Zar-
szynie 100
Linz 14
Lipa Gnila 99
Lipinki 36
Lisko 26, 60
Lisowski, ks., profesor Uni-
wersytetu lwowskiego, pre-
fekt seminarjum duchowne-
go 1, 5, 11, 81, 102

Litwin, ks., katecheta w Jarosławiu 24

Litwin, ks., katecheta w Gorlicach 24

Lowanium 55

Lubaczów 102

Lubatów 28, 67

Lublin 103

Lwów 1, 4, 5, 10, 11, 25, 28, 45, 67, 76, 79, 80, 81, 97, 98, 99, 102, 103

L.

Łańcut 13

Łazy 49, 90

Łącko 18, 24, 25, 28

Łęczany 13, 85

Łonicki, ks., proboszcz w Bieżdziej 14

Łuck 67

Łysa Góra 50

M.

Machała, ks. 80

Mackensen, generał niemiecki 84, 103

Magierów 97

Maszkowice 26

z Maszkowic Zyndram 26

Mazanek, ks., katecheta seminarjum nauczycielskiego, proboszcz w Łańcutie 13

Miejsce Piastowe 13, 55, 80, 85, 86, 87, 103

Mięta 36, 38, 46

Miętus, ks., deficyent 13

Mikołaj II., car 63, 98

Milczyce 10

Miżyniec 28

Morawski, właściciel Odrzechowej 37

Moskale zob. Rosjanie

Moszoro, ks., infułat kapituły ormiańskiej we Lwowie 27, 49, 50

Mościska 97

Multan, włóczęga 34, 35

N.

Nadziakiewicz, właściciel sklepu w Rymanowie 9

Narwia 103

Niemcy 6, 29, 30, 47, 68, 87, 88, 89, 90, 93, 103

Nowy Sącz 22, 23, 24, 28, 102

O.

Odrzechowa 37, 59, 82, 91, 92

Odrzykoń 49, 91, 92

Ostaszewscy, właściciele Klimkówki 29, 32, 33, 34, 36, 38, 60, 94

Ostrowski, ksiądz, proboszcz w Warzycach 22

P.

Paryż 55

Pelczarski, ks. 102

Petrowicz Iwan, komendant etapowy rosyjski w Besku 66

Piaskowy, ks., proboszcz w Łącku 24, 25

Pilat Tadeusz, wicemarszałek krajowy 23

Pius X papież 6, 104

Polacy, Polska 7, 8, 37, 38, 40, 47, 54, 55, 61, 71, 72, 75, 86, 88, 89, 102

Posada Dolna 87, 91
 — Górna 27, 50, 56, 85
 — Zarszyńska 92
 Potocki Jan, hr., z Rymanowa 8, 9
 Potocki Józef, hr., z Rymanowa 7, 8
 Potoczek 57
 Prusacy 95, 100
 Prut 97
 Przemyśl 4, 6, 42, 60, 61, 62, 68, 69, 71, 75, 93, 94, 96, 97, 101
 Przymiarki 55
 Psrągowski, oficer rosyjski 54, 55, 56, 57
 Puchalski, ks. prałat, proboszcz w Wyżnianach 10, 11, 102
 Pustki 57

R.

Rafa, ks. proboszcz w Iwoniu 67
 Rawa Ruska 97
 Regiec, dr., lekarz w Rymanowie 38
 Rogi 33, 46, 84, 85, 103
 Rogowska Góra 85, 88, 102, 103
 Romański, ks., franciszkanin 45
 Ropa 18, 20
 Rosja, Rosjanie (Moskale) 3, 6, 7, 10, 14, 16, 17, 25, 27, 29, 31, 32, 35, 40, 41, 42, 43, 44, 46, 47, 48, 49, 52, 55, 56, 57, 59, 60, 61, 62, 64, 65, 66, 69, 70, 71, 77, 79, 80, 81, 84,

85, 87, 88, 89, 90, 92, 93, 94, 96, 97, 98, 99, 101, 102, 103
 Rozmarynowski, ks., wikary w Korczyniu 101
 Równe 46, 55, 84, 85, 86, 103
 Rumunja 66
 Rusini 14, 27, 37, 53, 68, 69, 85
 Ruska Rawa zob. Rawa
 Ruski gościniec 56
 Ruś 97, 98
 Rutowski Tadeusz, dr., prezydent miasta Lwowa 98
 Rymanów 4, 5, 7, 9, 11, 12, 27, 28, 29, 30, 32, 33, 36, 37, 38, 39, 45, 46, 47, 48, 49, 51, 53, 57, 59, 60, 64, 65, 66, 67, 68, 69, 76, 79, 80, 82, 83, 85, 86, 87, 89, 90, 91, 92, 93, 94, 95, 96, 97, 99
 Rzepka, ks. wikary w Grybowie 22
 Rzeszów 24, 97
 Rzym 107

S.

Salików, pułkownik rosyjski 54
 Sambor 1, 11, 40
 San 97
 Sandowicz Maksymiljan, ksiądz prawosławny 16
 Sanok 5, 9, 10, 11, 26, 61, 65, 68, 95, 96, 97, 102
 Sącz z. Nowy Sącz, Stary Sącz
 Serajewo 3
 Serbja, Serbowie 3, 47
 Sękowa 17

Siedlecza Michał, ks., proboszcz w Lubatowej 67
 Siemianówka 81
 Sieniawa 27, 37, 97
 Sienkiewicz Henryk 73
 Słowieńcy 21
 Sobczak, ksiądz, proboszcz w Miejsu Piastowem 80, 81, 101
 Sos. ks., proboszcz w Gorlicach 13, 15, 16, 17, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 80, 81
 Sos Mateusz, ks., proboszcz w Targowiskach 80
 Sroczyński, właściciel Gorajowic 14
 Stanisławów 66, 67
 Stankiewicz, pułkownik rosyjski 61
 Stary Sącz 24
 Stawiarscy, właściciele Jedlicza 93
 Sybir 42
 Szmyd, ks., profesor 101
 Szydelski Szczepan, ks., profesor Uniwersytetu lwowskiego 81
 Szymbark 17, 18

Ś.

Świejkowski, ksiądz w Gorlicach 17

T.

Talerze 88
 Targowiska 30, 47, 49, 50, 80, 86, 101
 Tarnawka 69
 Tarnawski Mieczysław, ks.,

profesor Uniwersytetu lwowskiego, prefekt Seminarjum duchownego 1, 81
 Tarnopol 5, 11, 80
 Tarnów 22, 25, 26
 Tarziński, ksiądz, proboszcz w Grybowie 21, 22, 23
 Tomsk (na Syberji) 14
 Topolnicki Bronisław 35, 42
 Trembowla 5, 11, 14
 Trześniów 91
 Tyrol 47

W.

Wachowicz, ks., proboszcz w Szymbarku 18
 Warszawa 54, 103
 Warszylewicz, ks., spirytualny Seminarjum duchownego we Lwowie 1, 81, 102
 Warzyce 22
 Wątykan 107
 Weredyński, ks., wicerektor Seminarjum duchownego we Lwowie 1, 5, 76, 81, 102
 Wezuwjust 90
 Węgry 13, 31, 46, 47, 49, 60, 62, 84, 94, 96
 Wiedeń 14, 77
 Wietrzno 55, 85
 Wilhelm II, cesarz niemiecki 89
 Wilkiewicz, ks., proboszcz w Zagórzanach 15
 Wisła 84, 97, 103
 Wisłok 58, 99
 Włochy (Włosi) 47, 93
 Wojnicz, dr., lekarz rosyjski 67, 68, 69, 77 83

- Wolski, ks., proboszcz w Klim-
kówce 8, 9, 27, 33, 34, 35,
38, 66, 76, 101
Woyrsch, general niemiecki
103
Wrocanka 85
Wróblak 3, 4, 9, 28, 46, 52,
53, 83, 85, 86, 87, 90, 91
Wulka 46, 47, 52, 55, 56, 57
Wyżniany 10, 11, 102
W., starosta sanocki 95
- Zakopane 60, 101
Zaleszczyki 5, 11
Załuże 6
Zapowiedź, przysiółek Beska
99
Zarszyn 59, 92, 99, 100
Ziajka, ks., kapelan wojskowy
24
Ziemba, ks., proboszcz w Jo-
dłowej 13
Zych Ludwik 33, 34

Z

- Zagórzany 15, 16
Zagórze 28
Zajchowski, ks., prałat kapi-
tuły metropolitalnej obrz.
łac. we Lwowie 10, 11, 12,
13, 17, 19, 22, 23, 26, 28, 45,
52, 80, 81, 102

Ż.

- Żmigród 46, 55, 60, 66, 68,
83, 84
Żmudziński, naczelnik Sądu
w Rymanowie 7
Żydzi 49, 65



